Nr. 43. Warszawa, dnia 11 (23) Października 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

PO POJEDYNKU.

Badeni pierwszy raz po użyciu argumentu *ad hominem* pokazał się w Izbie deputowanych w d. 12 b. m. Nadspodziewanie przyjęła go prawica uprzejmie, ale bez zapału, a lewica spokojnie. Zachowanie się pierwszej nie potwierdza przewidywania, że *prime minister*, narażając się we wspólnej sprawie, nietylko na utratę, co najmniej, zdrowia, ale i na grzech wobec kościoła, nabędzie uroku, skuwającego już zapełnie głównego przedstawiciela rządu ze stronnictwem rząd popierającem. Spokój na lewicy był dowodem raczej pewnego otrzeźwienia, narzucającego przyzwoitość, niż ostygnięcia w zapale opozycyjnym. Formy istotnie stały się teraz przyzwoitszemi, ale plan kampanii nie uległ zmianie: postanowiono wytrwać do końca i tamować obrady wszelkimi środkami, jakie daje sam regulamin, zrzekając się już pomysłów własnych lub czerpanych z bogatego podręcznika zwad i bójek karczemnych. Deputowany Wolf, przeciwnik p. Badeniego w pojedynku, w Izbie mówił przeciwko niemu jak każdy człowiek dobrze wychowany, któremu idzie nie o wywarcie afektu osobistego przeciwko osobie, ale o umysłowe zwycięztwo w umysłowej utarczce. Wogóle wieje teraz wiatr łagodniejszy. Odzywa się już głos: „głową muru nie przebijesz.“ I rzeczywiście dotychczasowy przebieg obrad pokazuje mur cały, a straszną dzidę narwała już nadłamaną. I rekiny nie są już tak straszne. Z tem wszystkiem opozycya trwa — i skutków jej nikt dziś określić nie zdoła.

Najważniejszy atak na rząd — oskarżenie p. Badeniego i jego kolegów w ministeryum o rozporządzenia językowe i o tajemne okólniki przeciw tegorocznym zbiegowiskom niemieckim w Czechach — rozpoczął się d. 13 b. m. Minister zaczął od opędzania się opozycyi i zapowiedzenia jej, że nie da sobie mowy tamować i z praw swoich na równi z każdym posłem korzystać będzie. Oskarżenie o niekonstytucyjność rozporządzeń językowych nie trudno było mu odeprzeć tym faktem, że prawa z r. 1867 nigdzie nie wzbraniają rządowi wydawać rozporządzeń wewnętrznych do urzędów i urzędników, dotyczących sposobu załatwiania czynności. W drugiem obwinieniu lewica natarła na prezesa ministrów tajemnym reskryptem z d. 2 czerwca — do władz policyjnych i administracyjnych, obostrzającym służbę komisarzy wysyłanych na zgromadzenia publiczne. P. Badeni zawiódł tu oczekiwania: zamiast odczytać reskrypt, jeśli w nim nic zdrożnego nie było, wdał się w gromienie bezimiennego urzędnika, który tajemnicę rządową zdradziecko był wyjawił. Ukrywając reskrypt, minister przeczeniem potwierdził oskarżenie. Ten nieskrupulatny sędzia, jakim jest opinia, zwłaszcza stronnictw walczących w sejmach, uznał już dowód taki za wystarczający — i oczywiście, musiał się w swej nienawiści wzmocnić.

Rozprawy przeszłotygodniowe nad oskarżeniem ministrów przyniosły rozczarowanie jeszcze i ogólną swoją taktyką. Można się było spodziewać wielkiej bitwy; doczekano się drobnych podjazdów i potyczek. Wypadało przewidywać stawienie się prawicy w całym ordynku i zapamiętałą walkę w obronie już nie samego tylko ministra, ale pośrednio także i własnych swych haseł, stanowiska swego i tej przyszłości, jakąby ono karnym, pracowitym, a działać umiejącym zapewnić mogło. Tymczasem prawica, w uchwale swojej zapewniając Niemcom

zupełną swobodę wygadania się, samej sobie nie przepisała nawet obowiązku mówienia w obronie człowieka, który nietylko za siebie, ale i za nią przecież orężem się rozprawiał. Drugiego dnia sądu ławy prawicy nie były pełne. Nikt z Młodoczechów nie przemówił za oskarżonym, choć każdy z nich ciężar oskarżenia pośrednio na samym sobie czuć musiał. W całej tej rozprawie, w której Niemcy poruszyli nawet krzesło prezydyalne, domagając się od p. Abrahamowicza wydobycia z czeluści rządowych owego występnego reskryptu, widać jakieś nieopatrzne lekceważenie, małość, lichotę, a ze znamion tych nic dobrego wywróżyć niepodobna dla dalszych czynów i wypadków.

Nie znając obecnego stosunku między cesarzem a pierwszym ministrem, nie wiedząc jak daleko panujący pozwala wykonawcy swej woli posunąć się przeciwko Niemcom czeskim po drodze wytkniętej przez adres większości — nie podobna czynić p. Badeniemu zarzutu niewytrzymałości i omdlenia w podjętych raz usiłowaniach; można już jednak na położenie dzisiejsze patrzeć z wielkiem powątpiewaniem zarówno o utrzymaniu się jego w rządzie, jak i o urzeczywistnieniu programu pchającego Przedlitawię w kierunku federalizmu. Może ostatecznie winnym będzie tylko cesarz, że ministrom w kierunku tym iść nie pozwolił; może się okaże kiedyś, że samo ministeryum iść nie umiało lub nie chciało: ale główną chyba, najwybitniejszą, dziś już widoczną przyczyną tego ugrzęźnienia rzeczy publicznej w trzęsawisku opozycyi i bezczynności — jest ów przedlitawski babel, którego stronnictwa stojące po prawicy izby zburzyć, zmieść nie umieją, nie mogą. Gdyby wszystkie wytknęły sobie cel zasadniczy, najpierwszy, najnieodzowniejszy: skruszenie przemocy niemieckiej w życiu politycznem, i dla niego na razie wszystkie inne interesa swe i dążenia poświęciły, odraczając je tylko na przyszłość — babel leżałby już w gruzach, a jedność dawałaby energię do nowego ukształtowania tej różnojęzycznej, różnonarodowej pospólni, jaką jest Przedlitawia. Przy dzisiejszej większości, mającej w swym składzie Niemców południowych — od takiego hasła rozleciałaby się właśnie ta większość i nie byłoby nawet co mówić o programach, o federalizmach i rozporządzeniach językowych. Fatalizm skazuje Przedlitawię na połowiczność, półśrodkowość i podtrzymywane przez nie ustawiczne wrzenie, przeszkadzające prawnemu uporządkowaniu całości.

Tydzień polityczny. Cesarz niemiecki marzy o septennacie morskim tak silnie, że jeśliby sejm nie zgodził się na marzenie, naród powołany będzie do wydania z siebie nowego ciała prawodawczego. W Hubertusstocku odbył Wilhelm II z szefami trzech swoich kancelaryj—trzech najrdzenniejszych, z wyjątkiem skarbowego, ministeryów w Pruso-Niemczech — narady, po których widoki nowej procedury wojskowej zasępiły się tak widocznie, iż pogłoski o dymisyi kanclerza, w teoryi ściśle związanej z projektem, nabierają nowej siły. Dla zamalowania tylko tego, co rzeczywistość już wypisywać zaczęła, rozpuszczają dziennikarze pogłoskę, jakoby opór Bawaryi, obstającej przy swej odrębności, nie pozwalał reformy wprowadzić —Nadzwyczaj silny ruch nienawiści narodowej w Prusiech podsycają jeszcze wyroki sądowe przeciwko jednostkom i zbiorowiskom polskim, podsycają rozporządzenia i środki policyjne, podsyca wreszcie mądrość polityczna, posługująca się bibułą — a wręcz zalecająca hartmanowskie *ausrotten!* Wicher ten wieje ze szczytów; od pamiętnej mowy toruńskiej we wrześniu 1894, pomiędzy tem, co na nizinach robią, a tem, czego na wyżynach chcą, panuje najzupełniejsza zgodność. Cesarz jest ciągle sam swoim kanclerzem, swoim mentorem, swoją nawet Egeryą. Bismarck odejść musiał, bo dla nich obu świat był [illegible]

Sagasta zachorował — podobno niebezpiecznie. Miał on już czas z zawiązanych z Kubanami rokowań wynieść niemożność porozumienia się. Wojna dalej się potoczy, a dotychczas kosztowała już 180,000 samych tylko żołnierzy w ciągu lat trzech przywiezionych na wyspę. Stany Zjednoczone będą miały ze swego stanowiska zasadę do natarczywości; ich Woodford w Madrycie nie dostał jeszcze odpowiedzi. Blanco wyjechał już dla objęcia komendy po Weylerze. W więzieniach hiszpańskich, zwłaszcza w Montjuich w Barcelonie, wykrył rząd obecny gwałty, wołające o pomstę. Pisali o nich nawet sami panujący do królowej Krystyny, doradzając zmianę gabinetu za życia Canovasa i po zamordowaniu go.

W Białogrodzie przesilenie gabinetowe. W Sofii zgromadzenie zbiera się d. 27 b. m. Nad jeziorem skodrzańskiem rozruchy wyznaniowe. *Standard* donosi o punktacyi przymierza między Turcyą a Bułgaryą: ks. Ferdynand dziedzicznym gubernatorem Rumelii, w razie wojny Turcya stawia 200,000, Bułgarya 100,000 wojska.

Komisarze graniczni pojechali już na grunt tessalski. Komisarze, ustanowieni nad długami Grecyi, zabierają się do ułożenia planu gospodarczego. W Atenach Księga Biała przekonywa, że Niemcy namówiły do przystania na autonomię Krety, a później zapewniły nizką kontrybucyę i łagodną kontrolę długów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZPITALE.

I.

Straszne, wstrząsające wrażenie robi opis szpitala korsakowskiego na Sachalinie, w pięknem opowiadaniu Doroszewicza. Do głębi porusza także dola „włóczęgi Niemego,“ ofiary szpitala w stolicy, skąd go wypisano zawcześnie, zapewne z braku miejsca i wywołano tym sposobem aphazyę po tyfusie. Nasze szpitale nie przypominają wprawdzie piekła Dantejskiego w zakładzie korsakowskim, bo nie trzymają u nas w jednej sali obłąkanych, pokaleczonych i do-

---

24)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Z izby umierającego przechodzimy wązkim korytarzem do żołnierza waryata.

W korytarzu brzęczą kajdany.

Z ławki powstaje dwu okutych.

— Co to? Chorzy?

— Nie. Po świadectwo, potrzebne do kary cielesnej! — mówi dozorca.

W małej izbie izolacyjnej dokonywa żywota dwu ludzi.

Stary katorżnik, były żołnierz, który na pytanie, ile w swojem życiu otrzymał uderzeń chłosty, odpowiada:

— Siedemdziesiąt dwa miliony, jaśnie oświecony panie!

Wyobraża sobie, że jest starszym podoficerem, to znowu feldmarszałkiem; całe jego życie maluje się w tym smutnym obłędzie.

Ciągle skazuje ludzi na śmierć lub na chłostę.

— Oto ten — woła, wskazując posługacza i wydobywając „kaftan waryatów“ — chciał mię związać. Powiesić go w ciągu dwudziestu czterech godzin! A temu życie daruję; sześćdziesiąt tysięcy uderzeń, bez pomocy lekarskiej. Natychmiast!

Na drugiem łóżku śpi skurczony człowiek, jedyna istota, która nie wydaje ani wyroków śmierci, ani skazuje na karę cielesną, surowy żołnierz stary. Nazywają go „Czuszka.“

Starzec ślepy, idyota.

— Czuszka, wstawaj! — woła żołnierz i wyrywa mu kilka włosów z brwi.

Czuszka krzyczy, budzi się i otwiera swoje oczy ociemniałe.

— Czuszka, czy chcesz zreć?

Ale Czuszka nie odpowiada.

Posłyszawszy głos lekarza, coś sobie przypomina.

— Doktór, a, doktór!

— Co ci jest?

— Zrób mi nowe oczy.

— Dobrze, zrobię.

— Zrobisz? No, to pięknie!

I znowu zasypia snem starca-idyoty.

— Czy żreć nie chcesz, Czuszka? Powiesić go w tej chwili! Stawiać szubienicę! Kata! Batogów! — woła stary żołnierz.

* * *

Przejdźmy do oddziału żeńskiego.

Tutaj trochę czyściej.

— Bądź co bądź, kobiety! — mówi akuszerka.

Położnice leżą z dwiema idyotkami, które uśmiechając się mówią o oblubieńcach.

Zwykły rodzaj obłąkania kobiet na Sachalinie.

Do lekarza zbliża się młoda kobieta, chora na umyśle, Nenila — wystrojona.

— Doktorze, czy prędko mię wypiszesz?

— A tobie po co?

— Boję się, żeby dozorca innej nie wziął.

— Cóżeś tak się wystroiła?

— Chciałam iść do niego — śmieje się Nenila.

„Żadnego dozorcy niema. Bredzi“—mówi mi pocichu lekarz. — Oto lepiej, Nenilko, opowiedz panu, za co dostałaś się tutaj. On pragnie wiedzieć.

Twarz Nenili odrazu spochmurniała.

— Zaplątano mię, ach, zaplątano! On mię wplątał, ten wyrzutek, żebym razem poszła! Wplątał, a potem, gdzież on?— szukaj! I muszę być sama...

Nenila zaczyna płakać.

— Nie płacz. Opowiedz, jak to było.

— Jak było — zwyczajnie. Kupiec siedział ot tak, pijany. Broda na stole! — Nenila śmieje się; — ja tuż koło niego, ciągle mu dolewam: „pij, mówię, taki siaki!“ A tamten z tyłu się skrada .. Kupiec pijany, okrutnie pijany! Schwyciłam go za rękę, a tamten za brodę go porwał, w tył odciągnął i — chlast po gardle! Aj!

Może właśnie wtedy straciła równowagę duchową.

— Krew uderzyła w ścianę, we mnie, polała się, polała... Skurczył się kupiec — przykro... Tak przykro...

Nenila zaczyna szlochać, ociera łzy rękawem — i naraz wybucha śmiechem.

— Czegóż ja ryczę, głupia? Ot, głupia! Samej śmiech nawet. Ryczę, dziewczęta, i sama nie wiem, czego! Doktorze, puść mię do nadzorcy.

— Daj mi kropli do zębów! — zaczepia go inna chora na umyśle.

tkniętych chorobami zakaźnemi, nie umieszczają także chorych na korytarzach; ale faktem jest, że zakłady te nie odpowiadają wcale olbrzymim potrzebom ludności. O przepełnieniu ich, o braku miejsca i wygód zasadniczych niejednokrotnie u nas pisano i w gazetach i broszurach; ci zaś, którzy się zetknęli ze szpitalami naszymi bezpośrednio, zachowali w sobie dużo niezadowolenia i goryczy. To jednak wszystko, co się słyszy z ust różnych osób, co się czyta w gazetach lub się widzi dorywczo osobiście, jest niczem wobec tych faktów, jakie nagromadził dr. Nosocomialis (B. W. J.) w osobnej broszurze p. t. „Potrzeby szpitalnictwa warszawskiego." Po przeczytaniu tej rzeczy doznajemy pognębiającego wrażenia i przypuszczamy, że każdy, kogo żywo obchodzą sprawy społeczeństwa, prawdziwie się zasmuci tymi faktami.

Przedewszystkiem zwracają uwagę cyfry: Warszawa w r. 1894 posiadała w szpitalach ogólnych tylko 1,260 łóżek na przeszło 515,000 ludności. W r. 1854 miasto nasze posiadało 5 szpitali ogólnych a w nich 1,016 łóżek etatowych na 157,457 ludności W okresie więc czterdziestoletnim ludność Warszawy wzrosła o 357,564, liczba zaś łóżek zaledwie o 244. Gdy w r. 1854 jedno łóżko szpitalne przypadało na 82 mieszkańców, w r. 1894 jedno na 408,6. W Petersburgu, Moskwie, Hamburgu i Wiedniu stosunek jest znacznie pomyślniejszy, nadto w miastach tych istnieją szpitale dla dzieci, odpowiadające potrzebie. Tak np. Wiedeń posiada aż sześć zakładów tego rodzaju, w których 1894 r. było 19,208 chorych dzieci, tj. prawie tyle, co we wszystkich szpitalach ogólnych warszawskich. A u nas skromny, ciasny szpitalik dla dzieci kołacze jak żebrak do ofiarności publicznej i nie może wykołatać środków najniezbędniejszych, gdy jednocześnie dość zasobne Towarzystwo dobroczynności uważa za główne zadanie swoje — jałmużnictwo!

Nic też dziwnego, że z braku odpowiedniej liczby szpitalów oraz skutkiem ciasnoty w istniejących, *piąta część* chorych nie może tam znaleźć miejsca. Dodajmy, że ta piąta część jest obliczona na podstawie wydawanych biletów odmownych. W rzeczywistości liczba nieprzyjętych chorych bywa dwa, a nawet trzy razy większa.

A oto inne fakty: Według sprawozdania Rady, w ciągu r. 1894 chorzy przeleżeli o 74,630 dni mniej, niż powinni. Z powodu ciągłego braku miejsca w szpitalach, lekarze muszą wypisywać rekonwalescentów wcześniej, niż trzeba, ażeby zrobić miejsce dla nowych ciężko chorych. Stosunek jaskrawiej wychodzi w zestawieniu z warunkami urządzeń zagranicznych. Kiedy np. w Warszawie przeciętnie jeden chory leży dni 19, w Hamburgu dni 40, czyli o trzy tygodnie dłużej!

Autor nie mówi, co się dzieje z wypisanymi zawcześnie lub nieprzyjętymi wcale, bo nie posiada danych. Ale nie trudno się domyśleć, jakiemu losowi oni ulegają. Może takich Głucharenków, dotkniętych aphazyą, jest u nas dużo. Z licznych świadectw osób wiarogodnych i własnych przypadkowych spostrzeżeń wiemy, że olbrzymi procent ludzi zniedołężniałych, niezdolnych do pracy, pochodzi ze zbyt wczesnego opuszczania szpitala. Warunki te wpływają także na wzrost śmiertelności. Czy można się dziwić, że ludność wobec takiego stanu rzeczy nie ma wcale zaufania do szpitalów, że oddanie tam chorego uważa częstokroć za jednoznaczne z wywiezieniem na cmentarz? Słyszeliśmy niegdyś o projekcie stworzenia osobnego szpitala, a raczej przytułku dla rekonwalescentów. Byłby to jawny wyrzut dla naszej organizacyi szpitalnej, ale doprawdy trudno odmówić racyi temu pomysłowi, który jednakże nie zwróciwszy niczyjej uwagi, utonął gdzieś w zapomnieniu.

Zobaczmy teraz, jakie są urządzenia tych zakładów. Wprawdzie chorzy nie są umieszczani na korytarzach, jak w szpitalu korsakowskim, ale muszą leżeć na podłodze w salach ogólnych. Pomimo że Warszawa słynie już jako miasto skanalizowane, że dla właścicieli domów ten warunek zdrowotny stał się obowiązkowym, większość szpitalów, o dziwo, dotąd nie posiada tych niezbędnych udogodnień. A przecież to jest pierwszorzędna potrzeba. Nadto, nigdzie niema wentylacyi sztucznej, nigdzie należytego ogrzewania i oświetlenia. Na salach stoją kubły, które zanieczyszczają powietrze do tego stopnia, że czasem nawet lekarze młodzi, nieprzyzwyczajeni — mdleją. Wypadki takie nie zdarzyły się nawet w prosektoryum warszawskiem, gdzie wentylacya jest także bardzo pierwotna.

„Z żalem i obawą patrzą lekarze na chorych — pisze autor broszury — szczególnie z chorobami piersiowemi. Namawiają ich zwykle, jeżeli tylko to możliwe, żeby wyszli ze szpitali, bo pobyt tam bardzo często nie leczy, nie pomaga, lecz szkodzi." Oto dlaczego ludność uważa szpital i cmentarz za synonim.

Odżywianie chorych w szpitalach naszych również pozostawia wiele do życzenia. Brak najważniejszych składników spożywczych; urozmaicenia potraw niema wcale. Na żywienie chorego przeznacza się dziennie tylko $13\frac{1}{2}$ kop. Za granicą zwykle na salach są duże stoły dla chorych, którzy mogą chodzić. „U nas — pisze dr. B. W. J. — każdy musi jeść przy swojem łóżku, zamiast noża służy mu łyżka, zamiast widelca — własne palce."

W całej jej postaci maluje się cierpienie, pognębienie.

Właściwie nic ją nie boli. Ale bądź co bądź, resztki świadomości szukają przyczyny tego stanu pognębienia. Nieszczęśliwa sama wynajduje sobie przyczyny — to się skarży na ból zęba, to w pięć minut potem na ból w krzyżu:

— Już trzeci dzień nie mogę się wyprostować. Boli!

— A zęby?

— Zęby, nic. Żniwiarka oto jestem!

* * *

— Widzi pan, w jakich warunkach pracować trzeba! — mówi lekarz z westchnieniem.

Przypuszczam, że nie na długo wystarczy mu sił do walki z różnymi warunkami sachalińskimi, które istotnie są „katorgą." Zanadto mu się nerwy nadwątliły w ciągu kilku miesięcy.

Ilu już stąd uciekło ludzi, którzy przychodzili z gorącą chęcią niesienia pomocy cierpiącym!

A szkoda! Tacy ludzie oświeceni, humanitarni, pełni poświęceń, uczciwi, z wrażliwą i dobrą duszą — tacy ludzie są właśnie potrzebni na Sachalinie.

Ludzi złych jest dużo i takich co rok na spodzie okrętu przywożą.

Cmentarz skazańców.

Od szpitala korsakowskiego niedaleko do cmentarza.

Przejdźmy w stronę latarni morskiej.

Cmentarz leży na górze koło latarni korsakowskiej.

„Nie, wielmożny panie, widocznie już mi czas ku latarni" — mówił jeden ciężko chory do lekarza, który starał się go pocieszać.

Co to za dziwna procesya wspina się po zboczu wzgórza?

Dziesięciu katorżników, uczepiwszy się za hołoble i popychając z tyłu, ciągnie wóz, na którym spoczywa duża, niezgrabna, biała, niepomalowana trumna i łopata.

Z tyłu idzie znudzony dozorca z rewolwerem na sznurku.

Oto i cały kondukt pogrzebowy.

— No, no, jeszcze w górę! — wołają skazańcy.

To jest cała pieśń pogrzebowa.

W tym obrazie pogrzebu sachalińskiego jest coś, co ból sprawia, co za duszę chwyta. Ten wóz, dozorca, te szare kurtki...

Jedyna istota, któraby mogła odprowadzić to ciało na cmentarz, także leży w grobie.

Grzebią osiedleńca.

Przez zazdrość zarznął towarzyszkę, sam zaś uciekł z domu i otruł się tojadem. Po kilku dniach ciało jego znaleziono w tajdze.

Tojad, jest to roślina jadowita, rosnąca w okręgu korsakowskim, na południu Sachalinu. Korzeń jej „na wszelki wypadek" posiada każdy skazaniec. Pokazywało mi go wielu.

— Po co wy to trzymacie?

— Taki już zwyczaj... Na wszelki wypadek... Może się przydać! — odpowiadali osiedleńcy z takim uśmiechem, jaki nie daj Boże, żeby gościł na twarzy człowieka.

Zejdźmy, odprowadźmy nieboszczyka.

Wóz powoli wtacza się na górę. Zatrzymał się przy pierwszym grobie wykopanym. Na powrozach spuszczono trumnę. Skazańcy zdjęli z woza łopaty, plunęli w dłonie — i zadudniła ziemia na wieku trumny. Zastukała mocno, bo tu grunt gliniasto-kamienisty. Po prostu nie ziemia, lecz gruz, jakby cegła potłuczona leży koło mogił wykopanych.

Coraz ciszej uderza ziemia... Mały pagórek urósł na grobie. Wetknięto weń na prędce sklecony krzyż, z dwu kawałków drzewa, bez napisu.

Jedni się przeżegnali, inni nie—i wrócili do wozu.

— Teraz prędzej pojedzie.

Pobiegli i zniknęli u dołu.

— Powoli, dyabli! — rozlegał się zrozpaczony głos zmęczonego dozorcy.

— Lżej! Lżej!.. — słychać pod górą.

Jestem śród mogił bezimiennych.

— Cóż to? Czyż tak dużo umiera w szpitalu? — Ze zdumieniem patrzę na masę dołów wykopanych.

— Nie! — odpowiada mi furman-skazaniec, zdejmując czapkę.

— Włóż czapkę, zmiłuj się! Na cmentarzu wszyscy równi.

— Nie, wielmożny panie. To doły na zapas przygotowane. Nie było żadnej roboty, parowce nie przychodziły, więc posyłano do kopania dołów. A potem gorą-

Wogóle te nieliczne potrawy są zwykle niesmacznie przyrządzone, bo szpitale nie posiadają kucharek specyalistek; rolę ich pełnią siostry miłosierdzia. Jeden szpital Ewangelicki daje lepsze pożywienie, bo na osobę przypada tam 25 kop. dziennie; ale i za tę kwotę strawa nie może być świetna. Jednak, jak stwierdził profesor Czausow, to wyjątkowo lepsze pożywienie, chociaż niezupełnie odpowiadające potrzebie, sprzyja prędszemu, niż gdzieindziej, powrotowi sił chorego.

Wobec wielu zasadniczych wad i braków, sienniki i poduszki wypchane słomą, są drobnostką, chociaż za granicą pościel należy do warunków pierwszorzędnych. We wszystkich szpitalach berlińskich, wiedeńskich, hamburskich, praskich, a nawet u nas, we wzorowo urządzonym zakładzie sosnowickim, są materace i łóżka sprężynowe. Również za granicą wielką wagę przywiązują do ubrania szpitalnego chorych, gdy u nas jest ono lekceważone i wcale nie bywa stosowane do pór roku.

Obsługa niedostateczna wpływa na zaniedbanie chorych. Jeden posługacz np. przypada na 12—20 chorych. Obowiązkiem jego jest ciągle być na sali, usługiwać, prześcielać łóżka, roznosić pożywienie; nadto, palić w piecach, zapalać i gasić lampy, prowadzić lub nosić chorych do wanny, zamiatać, froterować, wreszcie wynosić umarłych, gdyż do tej czynności niema specyalnej posługi. Prócz tego wszystkiego musi on po kilka razy w nocy wstawać do chorych, często nie spać wcale. Tym sposobem posługacz szpitalny należy do ludzi najbardziej przeciążonych, pracujących nad siły. Przytem narażony on jest na utratę zdrowia a nawet życia skutkiem ciągłej styczności z chorymi. Za to wszystko pobiera: kobieta *cztery*, mężczyzna *pięć* rubli miesięcznie, oprócz pożywienia, ubranie zaś musi mieć swoje! Fakty bajeczne i trudno byłoby im uwierzyć, gdyby nie pochodziły ze źródła pewnego.

Posługacze w takich warunkach nietylko muszą zaniedbywać chorych, ale sami bardzo prędko tracą zdrowie i siły. Czyż wobec tego można się dziwić—pisze dr. B. W. J. — że w szpitalu Jana Bożego chory się ugotował, wskoczywszy do kotła i że w jednym z większych szpitali ktoś z braku dozoru o mało nie utonął w wannie? Wprawdzie niedawno w niektórych szpitalach wprowadzono posługę nocną, ale z braku pomieszczenia dzienna nie ma należytego wypoczynku. Do tak ciężkiej służby idą ludzie nieodpowiedni, ostatecznością zmuszeni.

Coby na to powiedzieli gospodarze szpitalów zagranicznych, gdzie praca jest znacznie uproszczona, gdyż istnieje centralne ogrzewanie i także oświetlenie, jest osobna obsługa przy grabarniach, osobna do noszenia trupów i gdzie pomimo to jeden posługacz przypada na 7—9 chorych? A jakaż różnica wynagrodzenia! W szpitalach berlińskich posługacze na sali operacyjnej i przy trupiarni pobierają, oprócz całkowitego utrzymania i ubrania, po 600 marek rocznie.

LISTY PETERSBURSKIE.

„Zbliżenie“ na gruncie ekonomicznym. — Z jakiego źródła wyjść mogły poglądy? — Śród Czukczów.— Syberya.

Prasa rosyjska ciągle jeszcze zapełnia szpalty swoje żywemi rozprawami o kwestyi polskiej. *Moskowskija Wied.* w sposób wielce charakterystyczny postawiły sprawę tak zwanego zbliżenia czy też ugody na gruncie czysto ekonomicznym. Korespondent z nad Wisły, wkładając w usta Polaka swoje słowa i poglądy, tak pisze: „Teść (Polaka) posiada fabrykę perfum, której wyroby mają wielki zbyt w Turkiestanie; jego stryj wyrabia lampy i posyła je tysiącami na Kaukaz i na Syberyę; jego siostra produkuje kwiaty sztuczne i całe swoje istnienie opiera na zbycie do Cesarstwa; jego kuzynka, wdowa, utrzymuje siebie i dzieci z ładnej pensyi, pobieranej za rysowanie wzorów do zakładu, który wyrobił sobie zbyt w Cesarstwie; jego brat pobiera dobrą płacę w jednej z fabryk łódzkich, która wytwarza wyłącznie dla Cesarstwa, drugi zaś brat pracuje w warszawskich zakładach metalurgicznych, które wysyłają co rok do Cesarstwa setki tysięcy pudów swoich wyrobów itd. itd. Proszę stworzyć granicę celną między „Cesarstwem“ a „Królestwem“ — a zobaczymy, co się stanie z ostatniem! Gdzie się podzieją dziesiątki tysięcy robotników i robotnic, pracujących w miejscowych fabrykach, zakładach przemysłowych i warsztatach? Co się stanie z „inteligencyą“ warszawską, której trzy czwarte istnieje i opływa w dostatki dzięki przemysłowi miejscowemu? Bardzo niewielka część wyrobów fabryk i warsztatów tutejszych jest zbywana na miejscu; tysiące tych zakładów pracuje wyłącznie na wywóz do Cesarstwa.“

„Obecnie w ogniskach przemysłowych kraju tutejszego daje się spostrzegać niezwykłe ożywienie. Fabryki warszawskie, łódzkie i inne pracują w całej pełni. Sfery przemysłowe oraz dzienniki tutejsze oczekują w niedalekiej przyszłości jeszcze większego ożywienia, którego główną przyczyną jest zwiększenie się zbytu na Syberyi, dzięki kolei Syberyjskiej. Wiele fabryk tutejszych na wiosnę r. b. posłało po raz pierwszy na Syberyę swoich komiwojażerów, którzy pozawierali tam wielkie tranzakcye. Do tego powodzenia wielce się przyczyniają Polacy syberyjscy. „Kupiec syberyjski — mówią obecnie w Warszawie — znał dawniej tylko Moskwę; dziś zaś zna już wybornie Łódź i Warszawę, zna także i zagranicę, a ponieważ najkrótsza droga kolejowa z Europy zachodniej na Syberyę prowadzi przez Warszawę, gdzie towary są przeładowywane z linij wązkotorowych do wagonów kolei szerokotorowych i gdzie

---

czka się rozpocznie, ludzie nie do dołów, lecz do roboty będą potrzebni!

Co za ponury obraz!

Małe pagórki, na których sterczą tylko jakieś kije zamiast krzyżów. Prawie na żadnej mogile niema całego krzyża. Przeważnie zaś nic niema.

— Któż to?

— Osiedleńcy na podpałki ściągają. Do tajgi lenią się iść, więc stąd biorą.

Oto mogiła, nad którą widocznie ktoś czuwał. W krzyżu był obraz oprawiony.

Krzyż ocalał, ale obraz wyrwano.

Teraz może przed tym obrazem, wyrwanym z krzyża cmentarnego, modli się jaki osiedleniec w brudnej, ciemnej i pustej izbie.

— Może kto zabrał i w karty przegrał za dwie kopiejki! — mówi furman, jak gdyby myśli moje odgadując.

Nad tymi pagórkami mogił bezimiennych panuje za wysokiem ogrodzeniem krzyż z żelaza lanego na obłożonej kamieniami mogile kupca Timofiejewa.

— Zarznięto go! — objaśnia furman.

— Za co?

— Za pieniądze.

I pomyślawszy trochę, objaśnia dokładniej.

— Miał, powiadają, pieniądze. Za to właśnie zarznięto go! Tutaj długo nie czekają...

Chciałoby się prędzej uciec z tego cmentarza, najsmutniejszego w świecie, a nawet i na Sachalinie.

Ale tutaj musi być jedna „święta mogiła.“

Mogiła Naumowej, młodej dziewczyny, nauczycielki, założycielki przytułku korsakowskiego dla dzieci zesłańców-katorżników.

Kształciła się ona w Petersburgu, porzuciła wszystko i przyjechała tutaj, pociągnięta świętą ideą, podsycana gorącem pragnieniem poświęcenia życia na służbę, na pomoc tym biednym, nieszczęśliwym, przez los tu rzuconym dzieciom ojców przestępców.

Miała szerokie plany, marzyła o klasach rzemieślniczych dla dziatwy, o szkołach niedzielnych dla skazańców, odczytach...

W zadanie swoje włożyła całą duszę, całą energię! Udało się jej cokolwiek zrobić. Przytułek korsakowski zawdzięcza jej swoje istnienie.

Ale czyż słaba dziewczyna mogła walczyć z surowymi warunkami sachalińskimi, z martwotą, obojętnością na cierpienia bliźnich?

Nie wytrzymała ona tej walki, nie zniosła ciężkiej atmosfery katorgi i zostawiwszy dwa listy, odebrała sobie życie. W jednym było tylko: „Żyć ciężko!“ W drugim prosiła, ażeby jej skromne rzeczy sprzedano i pieniądze za nie poświęcono na przytułek.

Właściwie przybyły na Sachalin jednocześnie trzy przyjaciółki, pociągnięte ideą niesienia pomocy cierpiącym: jedna zastrzeliła się, druga dostała obłąkania, trzecia... poślubiła byłego felczera - skazańca. Tak rozmaicie, a w gruncie rzeczy jednakowo skończyły wszystkie trzy. Bo zresztą trudno było wytrwać w pracy nad siły!

„Inteligencya“ korsakowska urządziła Naumowej pogrzeb uroczysty. Ale potwarze i plotki sachalińskie, wychodzące z ust ludzi, którzy nie umieją zrozumieć, że można życie swoje oddać jakiejś katordze — nawet w grobie nie oszczędziły nieboszczki-męczennicy.

Ta mogiła... Powinna być tutaj.. Ale gdzież jest?

Próżno szukałem.

— Powinna być tam! — mówiła mi „inteligencya.“

A przecież od śmierci Naumowej upłynęło zaledwie dwa lata!

General-gubernator nadamurski przysłał na grób Naumowej śliczny wieniec metalowy z ładnym napisem na blasze.

Wieniec ten wisi... w zarządzie policyi.

Nie można go zawiesić na grobie. Skradną!

Zresztą, gdzie tam można powiesić?

Taka musi być święta mogiła śród nieznanych, grzesznych mogił.

(C. d. n.).

przeważnie będą załatwiane sprawy celne, więc zarobimy także sporo i na towarach, które będą wysyłane z zagranicy na Syberyę. Ile już wybudowano dla nich składów i ile jeszcze się buduje! My — mówią Polacy — wzbogacimy się dzięki Syberyi, a pieniądze — to siła i „będzie Polska do Tobolska i dalej aż do oceanu Spokojnego.“

Charakterystyka „ciążenia ku Cesarstwu“ dosyć dobra. Jeżeli jednak istotnie korespondent *Mosk Wied.* rozmawiał w tej sprawie z jakimś Polakiem, to musiał chyba rozmawiać z typowym przedsiębiorcą, który interesy i potrzeby nietylko materyalne, lecz duchowe społeczne i moralne ocenia ze stanowiska swoich osobistych potrzeb ekonomicznych. Jest to znamienny pogląd „patryoty“-robigrosza.

Syberya tedy, owa Syberya, którą Polacy wybornie znają, stanie się źródłem ich dobrobytu. Warto więc poznać i najdalsze jej krańce, o których niedawno pismo rosyjskie, *Ziemlewiedienje*, zamieściło ciekawe dane. Są to wyjątki z listu naczelnika „kraju Anadyrskiego“ (pobrzeża morza Beringa), p. Gondatti. List ten, datowany 15 sierpnia (st. st.) 1896 r., otrzymano w Moskwie 14 lipca 1897 r., czyli prawie po roku wędrówki! W prowincyi Anadyrskiej mieszkają przeważnie Czukcze, Jukagirzy i Łasuci. Kozacy rosyjscy i osiedleńcy wsi Markowa zmieszali się prawie zupełnie z tubylcami. Jest tam brak jakiejkolwiek pomocy lekarskiej; niema także weterynarza, pomimo że się rozwinęły silnie choroby śród stad reniferów. „Kiedy byłem na półwyspie Czukockim — pisze p. Gondatti — to Czukcze pytali mię, czy Rosyanie są ich przyjaciołmi, czy też wrogami—i gdy odpowiadałem, że są przyjaciołmi, oni niedowierzająco kiwali głowami i mówili: Dlaczego rosyjskie sądy wojenne odbierają nam broń, proch, ołów, tj. te przedmioty, które nam służą do zdobywania środków istnienia? Dlaczego odbierają statki do połowu wielorybów, zagarniają nasze składy? (Istotnie — dodaje korespondent w nawiasie — z braku tłomaczów zdarzył się wypadek, że idąc w myśl instrukcyi, sądy niszczyły składy, biorąc je za amerykańskie). Gdy u nas głód panuje — mówili dalej Czukcze — niosą nam pomoc nie Rosyanie, lecz Amerykanie. Oni dają nam w zamian za fiszbin i kości konia morskiego mąkę i słoninę.“

P. Gondatti w dalszym ciągu opisuje swój kłopot z powodu spisu jednodniowego, tj. dzieła niemożliwego do wykonania: „Gdy się pytam Czukczów: Ilu was? Odpowiadają: „Wiesz! Ile komarów w tundrach, tylu jest nas.“ Istotnie są oni rozsiani po tundrach. Są tacy, którzy ze swego siedliska nigdy nie wychodzą, którzy nie widzieli nigdy ani Amerykanów, ani Rosyan; jeżeli zaś otrzymują tytoń i naczynia, to za pośrednictwem swych współplemieńców.

P. Gondatti powiada, że na tak olbrzymich obszarach on *jeden tylko* jest człowiekiem piśmiennym. Mieszka tam także jakiś duchowny, który jednak zapomniał tego, co umiał przed laty kilkudziesięciu, jego zaś synowie są zupełnie ciemni. Ileż lat trzeba będzie czekać, aż tam zajrzy promyk światła! Ileż zmian zasadniczych zajdzie w rozwoju i postępie kulturalnym świata, a nawet w bliższych ku Uralowi miejscowościach Syberyi, aż Czukcze i Jukagiry dowiedzą się o okruchach dobrodziejstw cywilizacyi! Prędzej, niż tych okruchów, skosztują oni jej odpadków.

Syberya wogóle budzi coraz szersze zainteresowanie świata cywilizowanego. Patrzy on na nią, jako na skarbnicę ekonomiczną, jako na przyczynek do dziejów społeczno-cywilizacyjnych, wreszcie na źródło badań etnograficznych, geograficznych i socyologicznych. W ostatnich czasach coraz więcej zaczyna się pojawiać dzieł poważnych o tych mało znanych olbrzymich obszarach. Przy sposobności kiedyś pomówimy o nich.

Paweł Krzyżanowski.

GOSPODARKA JUNKIERSKA.

Berlin, 13 października.

I.

Mieszczaństwo niemieckie gotuje się do walnej bitwy z junkrami. Po zakończeniu nadchodzącej sesyi parlamentarnej zostaną rozpisane wybory, które posłużą jako sygnał do rozpoczęcia boju pomiędzy zapaśnikami. Optymiści przepowiadają, że mieszczaństwo zetnie bezpowrotnie głowę hydrze reakcyi, że zginą wszelkie przeżytki i pozostałości otrzymane w spuściznie po feodalnym ustroju i ciążące Niemcom jak kula u nogi w ich postępie kulturalnym, że, słowem, rok przyszły stworzy nową dla nich erę. Nie wdając się w przepowiednie, chciałbym tylko tutaj zaznaczyć, iż junkrzy istotnie, w pełnem słowa znaczeniu, stanowią opokę feodalizmu. Zmiana dekoracyjna na scenie politycznej od czasów romantyzmu nie nauczyła ich niczego Jeśli w dziedzinie politycznej można ich uważać — jak się wyraził przed miesiącem Bismarck — za karyerowiczów, pozbawionych polotu idealitystycznego i nakręcających swą katarynkę programową podług woli usłużnego rządu, to z punktu widzenia ekonomicznego dążą ni mniej, ni więcej tylko do zagarnięcia całej ziemi pruskiej i upańszczyźnienia ludu wiejskiego. Od lat kilkudziesięciu istotnie noszą się z zamiarem wskrzeszenia pańszczyzny w Prusach. Tyle razy używamy wyrazu „junkier,“ nie zdając sobie sprawy z jego treści. Poniższy szkic rzuci światło na rdzeń tej kasty, której swawola daje się we znaki nietylko ludności niemieckiej, lecz i naszym rodakom, żyjącym w państwie pruskiem.

Organizacya rolna na wschód od Łaby miała od dawien dawna inną fizyognomię, niż na pozostałem terytoryum niemieckiem. Finansowe kłopoty książąt były wodą na młyn rycerzy pruskich. Wyzyskiwali oni klęski swych zwierzchników, aby przeprowadzać ich przez kandyjskie jarzmo ustępstw. Bezprawie polityczne prowadziło do rabunku ziemi chłopskiej na wielką skalę. Grunty wieśniaków zostały przyłączone do majątków rycerskich, a kmieci zmuszano do pracy na zagonach pańskich. W odróżnieniu od innych krajów niemieckich wschodnią część Prus już w przeszłem stuleciu pokryła sieć latifundyów. Gdy Napoleon zmiótł na pewien czas z powierzchni Europy barbarzyńskie instytucye feodalne, Prusy ze względów samoobrony, obawiając się epidemii politycznej we własnym kraju, chciały porobić szczerby w przywilejach junkrów. Wielcy kapitaliści mieli otrzymać prawo tworzenia i nabywania latifundyów. Prawodawstwo chciało położyć tamę wzrostowi ziem majorackich, które za pomocą swych wpływów i potęgi wchłaniały w siebie przyległe drobne majątki. Wreszcie każdy chłop mógł pozbyć się jarzma poddańczego, odstępując panu $1/3$ lub połowę swej posiadłości. Wkrótce powiał inny wiatr polityczny w Prusiech. Napoleona odwieziono na odległą wyspę, a w Niemczech zaczęto wzdychać przy akompaniamencie romantycznej lutni poetyckiej za średnimi wiekami. Pierś junkrów, wezbrana tęsknotą nocy księżycowych, łaknęła starodawnej swawoli. Jednem pociągnięciem pióra unicestwiono reformy, zaprowadzone pod wpływem podszeptów niespokojnego sumienia społecznego. Tylko bogatym chłopom zezwolono wyłamywać się z pęt poddaństwa. Powstały nowe majoraty, a w dodatku przywileje kredytowe wzmacniały potentatów ziemskich. Fryderyk, tak zwany Wielki, stworzył jeszcze stowarzyszenia kredytowe, na których mocy właściciele ziemscy danego okręgu ręczyli solidarnie za swego sąsiada. Prawo to utrudniało parcelacyę wielkich majątków. Dzięki temu obszary junkierskie mogły tylko rozrastać się. W r. 1848 zdecydowano się nareszcie znieść poddaństwo. Nastąpiło to trochę za późno, gdyż żarłoczność junkrów sprawiła w przeciągu 30 kilku lat wielkie spustoszenia na placówce chłopskiej. Po 1848 r. nakazano włościanom wykupywać swe majątki za rentę, wynoszącą $1/3$ czystego dochodu. Osobne banki rentowe ułatwiały procedurę. Junkrzy napełnili swe kasy brzęczącą monetą, która przyniosła im wielkie dochody w okresie porewolucyjnym, odznaczającym się rozwojem przemysłu i wzrostem cen zbożowych. Nadto zawładnęli oni cukrownictwem. Przez długie lata zgarniano bajeczne dywidendy, a w celu rozszerzenia tego przemysłu skupowano majątki chłopskie dla uprawy buraków. Ziemia podrożała wprawdzie, lecz bez wątpienia wyszło to tylko na szkodę wieśniaków, gdyż nie pozwalało im rozszerzać swych posiadłości pomimo ustawicznego wzrostu ludności wiejskiej. Każda piędź ziemi, która raz przedostała się z rąk chłopa do junkra, przechodziła jakby na wieczne posiadanie jego kasty. Majoraty, organizacya kredytowa wielkiej własności i rozległe rynki — wszystko to przyczyniło się do tego, iż terytoryum chłopskie malało równolegle ze wzrostem włości junkierskich. Podrastająca generacya wiejska zaspakajała swe potrzeby wyłącznie przez podział ziemi. W przeciągu lat 1816—60 2,5 mil. mórg ziemi chłopskiej uległo rozkawałkowaniu, a 1,6 mil. przeszło do kasty junkierskiej. Pojęcie „kasty“ należy w danym razie rozumieć z pewnemi ograniczeniami. W żyłach członków wielu rodzin płynie dziś krew błękitna, rozcieńczona sporą ordynarną domieszką mieszczańską. Oprócz tego same majątki zmieniały wielokrotnie swych właścicieli. Nie przeszkadza to atoli władzy, uświęcającej opisany wyżej stan rzeczy, powoływać się na to, iż rycerze założyli właściwie państwo pruskie. Przypomina to trochę gęsi, szczycące się wiekopomnemi zasługami swych przodków kapitolińskich. Nie zadawalając się stanowiskiem pieszczocha w państwie, junkrowie nie chcieli pogodzić się z faktem zniesienia pańszczyzny. Uskarżano się na niskie ceny, żądano wskrzeszenia dziedzicznej dzierżawy, zniesionej w r. 1850. Rząd nie dawał jeszcze posłuchu jeremiadom i nabożnym życzeniom, rozmijającym się z duchem czasu. Prawdopodobnie podniosłaby się burza protestu, gdyby spróbowano ożywić instytucyę, której grób historyczny nie porósł jeszcze trawą. W miarę tego jak posuwały się naprzód zabory ziemi włościańskiej, pogarszały się stosunki na wsi. Posiadłość chłopska stanowiła często wysepkę na morzu wielkiej własności. Junkier czuł się na wsi nietylko gospodarzem, lecz jednocześnie panem, urzędnikiem i przedstawicielem władzy. To też ludność uciekała do miasta, gdy przemysł niemiecki wyszedł z powijaków. Wyludniały się zwłaszcza dzielnice, w których rej wodziła wielka własność ziemska. Pod naciskiem opinii parlamentarnej rząd usiłował zaradzić tej klęsce i postanowił rozparcelować majątki państwowe, aby w ten sposób powstrzymać wielką wędrówkę ludności wiejskiej, porzucającej niewolę egipską dla ziemi obiecanej miast przemysłowych. Kolonizacya ta

spełzła na niczem, gdyż biurokracya, nie biorąc sobie do serca dobrobytu ludności wiejskiej, nie zaopatrzyła jej w kapitały dla zakupu majątków, a w dodatku spełniała swe obowiązki zbyt formalnie. Bądź co bądź, przedsięwzięta z rumorem wielka czynność ratunkowa, prysnęła jak bańka mydlana. Bismarck nie dał wszakże za wygranę i wpadł na pomysł przykucia ludności do gleby przez zakup ziemi polskiej. Zaintonowano hasło: „hejże na Polaków!“ i rzucono się na bezbronną ziemię poznańską. Wypchano trocinami frazesów i kłamstw widmo rewolucyi polskiej i w ten sposób udało się przemycić do ustawy pewne szczątki feodalne. Szło bowiem o to, aby uczynić pierwszy krok. W r. 1886 sejm pruski uchwalił 100 mil. marek na wzmocnienie żywiołu niemieckiego w dwu prowincyach pruskich, zagrożonych „polonizacyą.“ Na wniosek Miquela, znanego linoskoka politycznego, który dziś rozpiera się na przedostatnim szczeblu drabiny rządowej, uchwalono paragraf, orzekający, iż ziemia może być oddana na własność za gotówkę, rentę lub tytułem dzierżawy. Przytem nabywca, uiszczający rentę, nie miał prawa amortyzować lub wypłacać jej jednorazowo, jeśli rząd ze względów wyższej polityki sprzeciwiał się temu. Sprzedawca może nawet zabronić parcelacyi lub odstąpienia ziemi. Wprawdzie nabywcy pozostaje jeszcze apelacya do wyższego urzędu państwowego. W każdym razie zrobiono pierwszy wyłom w prawie własności i skręcono częściowo powrozy dla przymocowania ludu do ziemi nowoczesnymi z pozoru środkami prawodawczymi.

Wszystkie te ograniczenia, przeczące w zasadniczych punktach kodeksowi niemieckiemu, dopuszczono jedynie, aby umożliwić wynarodowienie Polaków, gdyż w tę właśnie bawełnę wzniosłego patryotycznego celu owinął Bismarck swe istotne zamiary. Rząd zamianowano właścicielem ziemi rentowej, posiadacze majątków są jakby jego lennikami, gdyż nie mają prawa ani porzucać gruntu, ani pozbywać się go, ani dzielić, ani umarzać ciążącego na nim długu bez zezwolenia rządu. Gadziny narodowo-liberalne i służalcy zachowawczy przyklasnęli reformie, wykraczającej przeciwko wielkim zdobyczom prawnym 1848 r. Polaków wywłaszczano nie dla dobra ludu niemieckiego, jak wmawiał w posłów Bismarck, ich majątki i spokój składano nie na ołtarzu jakiejś fikcyjnej niemieckiej idei narodowej, lecz użyto hasła „Ausrotten“ po to, aby za parawanem groźnego niebezpieczeństwa uknuć w zarodku spisek przeciwko ustrojowi mieszczańskiemu i stworzyć przepisy wyjątkowe, którym przyzwyczajenie nada żywotność i prawo obywatelstwa. Zobaczymy, jak wyzyskali myśl tę junkrowie i ich nieodrodny syn Bismarck w celu dalszego podminowania własności chłopskiej.

(D. n.).

H. F.

BADANIA NAUKOWE.

Dr. M. Benedikt: *Życie duszy ludzkiej.* Przetłomaczył dr. Wolberg. Warszawa, 1897.

Autor, profesor uniwersytetu wiedeńskiego na wydziale medycznym, znany ze swych prac w zakresie neurologii, od młodości oddawał się ze szczególniejszem zamiłowaniem badaniom psychologicznym. W każdym razie, rozwiązania zagadnień, jakie mu te badania nastręczały, szukał on nie w książkach fachowych, ale w księdze przyrody, tudzież w dziełach poetów i historyków.

Zajęty obowiązkami swego zawodu, zwlekał z ogłoszeniem wyników, do jakich doszedł w psychologii. Przekroczywszy atoli sześćdziesiąty rok życia i obawiając się, ażeby „skurcze serca nie ustały wprzód, zanim mózg wyda wszystkie swe dźwięki“ — postanowił nie odkładać nadal i zabrał się do pracy, której owocem jest właśnie dzieło o powyżej przytoczonym tytule.

Nie można zaprzeczyć, że dzieło to ma pewne zalety i z odczytania go można wiele skorzystać. Z tem wszystkiem wymaga ono już pewnego przygotowania naukowego, a co więcej, pilnego baczenia, ażeby nie przyjmować na wiarę tego wszystkiego, co autor za prawdę ogłasza. Jakoż z tego względu niepodobna przyznać, ażeby książka dr. Benedikta odpowiadała potrzebom naszych czytelników. Nie jest ona popularną, gdyż chodzi w niej autorowi nie o to, ażeby dać poznać w sposób przystępny, jakie jest obecne stanowisko psychologii, ale o to, jakie są jego osobiste poglądy na zagadnienia psychologiczne. Nie można jej również uznać za ściśle naukową, autor bowiem, czując szczególniejszy wstręt do „dowodzeń abstrakcyjno-teoretycznych,“ traktuje swój przedmiot dogmatycznie, wypowiada twierdzenia, o których uzasadnienie wcale się nie troszczy. Nie dość tego. Pisana pod grozą, ażeby „skurcze serca nie ustały wprzód, zanim mózg wyda wszystkie swe dźwięki,“ odznacza się ona pośpiechem w opracowaniu, wskutek czego nie wszystkie części w równej mierze są obrobione i analiza psychologiczna nie jest należycie pogłębiona. Dlatego też nie zawsze można sobie zdać sprawę z przebiegu oddzielnych spraw duchowych, oraz z ich wzajemnego związku. Samo stanowisko autora jest dość dwuznaczne. Zapowiada on, że w dziele swem trzymać się będzie metody doświadczalnej, że we wszystkich swych wywodach będzie się opierał na faktach sprawdzonych; tymczasem na samym zaraz wstępie wciąga czytelnika w labirynt poglądów metafizycznych, nie dając mu nawet do rąk nici przewodniej, za pomocą której mógłby się z niego wydobyć, żadnego uzasadnienia. Dlatego też punktu ciężkości dzieła należy szukać nie w jego głównej części, jaką jest psychologia ogólna, ale w dodatkach do niej, w których rozważa ze stanowiska psychologicznego niektóre objawy życia społecznego. Uwagi jego pod tym względem odznaczają się z jednej strony samodzielnością myśli, wolnej od wszelkich uprzedzeń doktrynerskich, z drugiej — głębokiem współczuciem dla ludzkości i wogóle dla istot żyjących. Właściwości te najwybitniej występują w rozdziale, poświęconym rozważaniu zasady, na jakiej się opiera sprawiedliwość karna. Taką zasadą jest odwet, zemsta. Tymczasem powinno nią być bezpieczeństwo publiczne. Jakkolwiek autor nie przeprowadza szczegółowo swej myśli, nie wskazuje, w jaki sposób sprawiedliwość karna ma się wykonywać na nowej podstawie, mimo to zgodzić się musimy, że uwaga jego jest słuszna, że sprawiedliwość oparta na zemście mija się nawet z tym jedynym celem, którym sofistycznie starają się ją uprawnić, a którym jest — odstraszanie innych od wykroczeń.

Jak już nadmieniłem, B. we wstępie oświadcza, że w swych wywodach będzie się trzymał stale gruntu doświadczalnego. Otóż pierwszą zasadą filozofii doświadczalnej jest pomijanie zagadnień, do rozwiązania których nie mamy żadnych danych. Należy tu w pierwszym rzędzie początek rzeczy. Autor tymczasem nie cofa się przed tem zagadnieniem. Gdyby przynajmniej z czemś nowem wystąpił! Odgrzebuje stare rzeczy i wytacza je jako działo, którego pociski zburzą do szczętu teoryę darwinowską, uznaną przez niego za nieprawdopodobną. Podług niego początkiem wszystkiego jest przyroda twórcza, powołująca do bytu wszelkie jestestwa zamiarowo i zaopatrująca je we wszystkie właściwości, jakie są niezbędne dla ich przeznaczenia. Gatunki są oddzielnymi tworami przyrody. Ulegają one rozwojowi dzięki nabywanym nawyknieniom, wywołującym pewne zmiany w organizmie, które przechodzą dziedzicznie na potomstwo, rozwój ten wszakże nie przekracza granic każdemu gatunkowi właściwych, i gatunki pozostają wiecznie stałymi. Czem jest ta przyroda rozumna i przewidująca? Autor nie daje na to pytanie żadnej odpowiedzi. Nie trudno jednakże ją znaleźć. Jest ona fikcyą metafizyczną, obmyślaną w celu udowodnienia założenia naprzód powziętego. Że nie w ten sposób postępuje nauka doświadczalna, zbytecznem było dowodzić. Temu właśnie darwinizm zawdzięcza swe uznanie, że dla wytłomaczenia rzeczy nie ucieka się do fikcyi, ale do czynników naturalnych, jakimi są walka o byt i przystosowanie się do okoliczności zewnętrznych. Czy te czynniki rzeczywiście wywołują przemianę gatunków, można w to wierzyć lub nie wierzyć; w każdym razie musimy wyznać, że w obecnym stanie wiedzy darwinizm jest jedyną teoryą, która racyonalnie tłomaczy pochodzenie gatunków.

Z taką samą dowolnością, nieoglądającą się na przepisy metody doświadczalnej, postępuje autor i w kwestyi, która dotyczy natury zjawisk duchowych. Powiada on: „Najwyższą mechaniczną działalnością przyrody jest przemiana zewnętrznych fizycznych, jako też wewnętrznych życiowo-chemicznych objawów siły na objawy duchowe: świadomości, myślenia, uczucia i woli. Głównem siedliskiem tych przemian jest mózg.“ Jak widzimy, B. ucieka się dla wytłomaczenia początku zjawisk duchowych do zasady stałości energii, nie zwracając uwagi na to, że jest to zasada czysto fizyczna, dająca się zastosować tam tylko, gdzie możliwe są ściśle wymiary. Zanim będziemy mogli utrzymywać, że zjawiska duchowe są swego rodzaju objawami energii fizycznej, musimy wynaleźć jakąś miarę, którąby nam pozwoliła wykazać, ile jednostek duchowych odpowiada jednostkom fizycznym w każdej przemianie *zewnętrznych fizycznych, jako też wewnętrznych życiowo-chemicznych objawów siły na objawy duchowe.*

Wywód swój kończy autor uwagą: „Tak postawione zadanie odrazu staje się wolnem od wszelkich poglądów, wybiegających po za krąg poznania. Tymczasem nie potrzeba wielkiej bystrości umysłu, ażeby odrazu spostrzedz, że B. „w tak postawionem zadaniu wybiegł po za krąg poznania“ i nie zdając sobie sprawy z tego, wkroczył w zakres metafizyki. Kto w zjawiskach duchowych upatruje objawy energii fizycznej, ten staje na stanowisku materyalistycznem. Materyalizm zaś tak samo, jak i spirytualizm, są kierunkami czysto metafizycznymi, opierającymi się na wywodach, które wybiegają po za krąg poznania. Jaka jest istota rzeczy, tego nie wiemy, możemy tylko powiedzieć, że nie stanowi jej ani materya, ani dusza, gdyż tak jedna, jak i druga, są naszemi pojęciami, oznaczającemi odrębne rodzaje zjawisk, które już dlatego, że są zjawiskami, mają znaczenie przeważnie podmiotowe. Odróżnienie tych zjawisk leży w warunkach naszego poznania. Jak warunki postrzeżenia zewnętrznego nie dadzą się sprowadzić do warunków postrzeżenia wewnętrznego i odwrotnie, tak również pojęcie materyi nie da się sprowadzić do pojęcia duszy i pojęcie duszy do pojęcia materyi.

Rzecz naturalna, że ten dualizm zjawiskowy, będący wytworem abstrakcyjnego myślenia, bynajmniej nie przemawia na

korzyść dualizmu substancyalnego, podług którego dusza i ciało mają być dwoma niezależnymi od siebie bytami, doczeœnie tylko sprzągniętymi z sobą w sposób, niedający się oznaczyć; ani też owego monizmu, który uważa duszę i materyę za dwie strony wszelkiego bytu, tak organicznego, jak i nieorganicznego. Pamiętać bowiem należy, że duszę znamy tylko drogą wewnętrznego postrzegania, które nie pozwala nam wyjść po za granice naszego *ja*. Że inni ludzie mają duszę, podobnie jak my, dowiadujemy się o tem pośrednio — drogą wnioskowania przez analogię. Ponieważ ta analogia rozciąga się w mniejszym lub większym stopniu do wszystkich zwierząt, posiadających układ nerwowy, więc musimy przyznać duszę i zwierzętom. Iść dalej i przyznawać duszę także roślinom i minerałom, znaczy wychodzić dowolnie po za granice, jakie zakreśla naszemu wnioskowaniu indukcya.

Władysław Kozłowski.

(Lwów).

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Przesądy co do kazirodztwa. — Badania nad gminą Batz. — Studya Thomsona nad Fidżyjczykami. — Zastosowanie do pierwotnego okresu dziejów ludzkich: kazirodztwo jako źródło powstania rodu ludzkiego. — Teorya Morgana.

Jeszcze przed kilku dziesiątkami lat panowało w świecie naukowym powszechne przekonanie, iż tylko związki małżeńskie, zawarte pomiędzy osobami, w których nie płynie krew wspólna, wydają na świat zdrowe i normalne potomstwo. Podnosiły się coraz częściej głosy, powątpiewające o wysławianej pożyteczności związków pomiędzy obcemi, a szkodliwości bezwzględnej małżeństw, zawieranych przez bliskich krewniaków. Wreszcie podjęto poszukiwania systematyczne, ogarniające znaczną przestrzeń terytoryalną.

Lagneau i Guéniot, dwaj antropologowie francuscy, zajęli się badaniami nad gminą Batz. Okolica górska, położona zdala od dróg komunikacyjnych, zna od wieków jedynie związki małżeńskie pomiędzy swymi obywatelami. A ponieważ liczba mieszkańców jest bardzo nieznaczna, łączą się tam więc w związku małżeńskim tylko krewniacy z krewniakami. Należałoby się spodziewać, że ludność owej gminy będzie składała się z niedołęgów, idyotów i kaleków. Tymczasem napróżno szukalibyśmy tam objawów zwyrodnienia: mieszkańcy są rośli, silnie zbudowani, zdrowi.

Najciekawszym jednak przyczynkiem do kwestyi związków małżeńskich pomiędzy bliskimi krewniakami jest praca Basila H. Thomsona *), poświęcona przedstawieniu stosunków rodzinnych na archipelagu fidżyjskim w Australii. Thomson jest sądownikiem, urzędującym na tych wyspach. Zajął się on zbadaniem prawa małżeńskiego i w studyach tych napotkał fakty, które zmusiły go do zastanowienia się nad utartymi poglądami co do tak zwanego kazirodztwa. Mianowicie, na archipelagu fidżyjskim istnieją pewne zwyczaje, które prawdopodobnie w ciągu wielu wieków przywodziły pożyciu małżeńskiemu i zaczęły ulegać zmianie i upadkowi dopiero w chwili bieżącej, pod działaniem najazdu europejskiego. Brat i siostra są tam wykluczeni od obcowania małżeńskiego i kultura fidżyjska pod tym względem nie różni się od zasad, którym nasza cywilizacya hołduje. Natomiast dzieci ich pobierają się stale, bo obyczaj dziadów wymaga tego. Kuzyni są nawzajem mężem i siostrą na podstawie urodzenia: prawo małżeńskie nie opiera się na wyborze swobodnym, ale jest stanem, nabywanym przez urodzenie. Pomimo rozkładających wpływów cywilizacyi europejskiej, 30% wszystkich stadeł małżeńskich, zawieranych w obrębie archipelagu, należy jeszcze dzisiaj do związków tego rodzaju, tj. łączą się dzieci brata i siostry. Zwyczaj prastary uwydatnia się jeszcze silniej na innej drodze — tajnej. Kuzyni obcują doryweze: prawie wszystkie uwiedzenia i cudzołóstwa, zdarzające się na wyspach wspomnianego archipelagu, są czynami, popełnionymi przez „urodzonych małżonków.“ Słowem, mamy tam sprawę z takim samym objawem, jak badany przez Lagneau i Guéniota w gminie Batz, tylko odznaczającym się jeszcze szerszem zastosowaniem w życiu gromadnem zasady *in and in*. Fidżyjczycy, rozpadający się na drobne plemionka, każde zamknięte w swojej okolicy, od wielu pokoleń zawierali związki pomiędzy osobami tej samej krwi i co więcej uważali je za jedynie godziwe. Nastręcza się pytanie, czy taki zwyczaj, w ciągu wieków istniejący, nie oddziałał ujemnie na badany szczep wyspiarzy oceanu Spokojnego. Thomson, dla rozwiązania tej kwestyi, podjął systematyczne studya nad statystyką płodności. Zapisywał on starannie liczbę dzieci, posiadanych przez każde stadło małżeńskie, oraz śmiertelność, panującą wśród potomstwa. W swoich poszukiwaniach wyróżnił on cztery kategoryo związków małżeńskich. Pierwszą stanowią małżeństwa, zawarte pomiędzy kuzynami, tj. dziećmi braci i sióstr; tego rodzaju rodziny wynoszą około 30% wszystkich małżeństw, istniejących w badanej okolicy. Do drugiej kategoryi należą związki pomiędzy krewnymi innego stopnia, około 12%; łączą się wujowie z siostrzenicami, dzieci sióstr itd. Stadła małżeńskie, składające się z mieszkańców tej samej wioski, ale nie spokrewnionych nawzajem, stanowią 32% i przedstawiają trzecią kategoryę w rubryce Thomsona. Wreszcie w skład czwartej, około 26%, wchodzą związki małżeńskie pomiędzy osobami, urodzonemi w różnych siołach. Cyfry powyższe wykazują, iż 42% wszystkich stadeł posiada mniej lub więcej wyraźny charakter kazirodczy. Badacz angielski znalazł, że płodność dla każdej z pośród wymienionych kategoryj wynosiła:

Dla stadeł małżeńskich

kategoryi	pierwszej	w przeciętnem	3,30	dzieci
„	drugiej	„	3,06	„
„	trzeciej	„	2,71	„
„	czwartej	„	2,77	„

Innemi słowy, płodność stadeł małżeńskich jest właśnie tam największą, gdzie osoby tej samej krwi obcują, jako małżonkowie, spada zaś dla związków pomiędzy niepokrewnemi osobami. Fakt ten przeczy wszelkim twierdzeniom dotychczasowym, dowodzono bowiem między innemi, że zmniejszenie liczby potomków jest jednym z najcharakterystyczniejszych skutków obcowania małżeńskiego pomiędzy krewniakami. Zresztą tablica powyższa jest niezupełna, dopóki nie uwzględnimy jeszcze stopy śmiertelności, istniejącej wśród dzieci każdej kategoryi. Thomson zwrócił uwagę i na tę stronę i znalazł, iż z pośród ogółu dzieci umierało:

W stadłach	małżeńskich	kategoryi	pierwszej	47%
„	„	„	drugiej	58%
„	„	„	trzeciej	46%
„	„	„	czwartej	47%

tj. z wyjątkiem małżeństw drugiej kategoryi, śmiertelność wszędzie stoi mniej więcej na tym samym poziomie, co zaś do olbrzymiej stopy w grupie małżeństw, zawartych pomiędzy krewnymi innych stopni, niż kuzyni, Thomson tłomaczy ją czynnikami natury społecznej, mianowicie uprzedzeniami rodziców względem własnych dzieci. Widzimy więc, że rzekoma szkodliwość związków małżeńskich pomiędzy osobami tej samej krwi, w niczem nie ujawnia się. „Mamy na archipelagu fidżyjskim — pisze wspomniany badacz — zjawisko, jedyne w całym zakresie nauki antropologicznej. Spotykamy lud, który w ciągu wielu pokoleń hołdował zwyczajowi obcowania małżeńskiego pomiędzy kuzynami i który jeszcze dzisiaj tak postępuje. Potomstwo, zrodzone z takich małżeństw, bywa nietylko liczniejsze, lecz także odznacza się nie mniejszą żywotnością, niż pochodzące z innych związków. W żadnej innej okolicy globu ziemskiego nie istnieje tak sprzyjający materyał faktyczny dla zbadania skutków krzyżowania kazirodczego wśród rodu ludzkiego... Może istotnie natrafiliśmy tam na doniosłą zasadę naszej przyrody fizycznej.“

Fakty, zaznaczone przez Thomsona, nie ulegają najmniejszej wątpliwości, zwłaszcza jeśli rozważymy warunki, w których badania jego odbywały się, mianowicie że wnioski o krzyżowaniu nasunęły się przypadkowo, jako uboczny wynik studyów nad innem zagadnieniem. Niepodobna więc podejrzywać go o jakiekolwiek uprzedzenia lub idee z góry powzięte. Zresztą spostrzeżone przezeń objawy znajdują, jakeśmy zaznaczyli, potwierdzenie w rezultatach działalności zootechników, którzy wytworzyli eugenistów świata zwierzęcego i utrzymują ich przy istnieniu tylko za pośrednictwem krzyżowania bliskich krewniaków. Wywody Thomsona i inne poszukiwania pokrewne rzucają światło bardzo ciekawe na pierwotne dzieje rodu ludzkiego. Im dalej cofamy się w przeszłość lub im niżej w teraźniejszości spuszczamy się ku szczepom pierwotnym, tem jaskrawiej występuje zjawisko odosobnienia plemiennego. Pojedyncze społeczeństwo dzikie na lądzie N. Holandyi zawierało w przeciętnem nie więcej nad kilkaset członków. Wynosiło ono w wyjątkowych razach kilka tysięcy uczestników, ale za to w innych liczyło zaledwie setkę głów. Taka gromada posiadała własną mowę, żyła odosobniona od innych — nic ją nie wiązało z sąsiadami, wrogość wzajemna była raczej jedyną zasadą stosunku. Rozpadała się na rody, naturalnie o wiele mniejszych rozmiarów. Rozpatrując podania plemienne, musimy wywnioskować, że rody były niegdyś grupami nawzajem niezależnemi, które połączyły się w całość społeczną dopiero w późniejszym okresie dziejów pierwotnych. Trzeba przypuścić, że w bardzo odległej przeszłości związki małżeńskie polegały na łączeniu się członków tej samej gromady, zawierającej nie więcej nad kilkudziesięciu członków. I inne prace doprowadzają nas do tego samego wniosku. Morgan, na podstawie systemów pokrewieństwa, doszedł do poglądu, że pierwotną formę stosunków rodzinnych stanowiła rodzina kazirodcza, w której przedstawiciele linii wstępnej łączyli się z bezpośrednimi swymi potomkami, tem bardziej zaś członkowie tego samego pokolenia, tj. bracia i siostry. Nauka antropologiczna zaczyna skłaniać się nawet do wniosku, że takie krzyżowanie wsobne — *in and in* — było głównem źródłem wytworzenia się zasadniczych przymiotów rodu ludzkiego. Zwracają oni uwagę na to, że wśród zwierząt domowych, ilekroć hodowca pozostawił istniejącym rasom swobodę mieszania się wzajemnego, tam z biegiem czasu występuje przeciętny typ krzyżowany, będący jedynie utrwaleniem cech, powszechnie istniejących. Takie mieszanie dowolne nie stwarza nowych odmian, nie udoskonala gatunku, tylko wyrównywa już spotykane właściwości, innemi słowy działa stanowczo i wyraźnie

*) Concubitancy in the Classificatory System of relationship (*Journal of Anthrop. Inst.*, tom XXIV).

w sposób zachowawczy. Natomiast krzyżowanie wsobne wydaje zgoła odmienne rezultaty: w ciągu kilku pokoleń hodowca, posiłkujący się jego zasadami, może utrwalić i wzmódz pewne przymioty i z pośród gatunku wyodrębnić nową odmianę. Ród ludzki, w początkowej fazie, pozostawiony dowolnemu obcowaniu małżeńskiemu, nie zdołałby wydobyć się po nad poziom kształtów fizycznych i uzdolnień umysłowych poprzedniego ogniwa organicznego. Trzeba przyznać, że pewna gromada lub grupa gromad, posiadająca już zaczątki zasadniczych właściwości rodu ludzkiego, utrwaliła je i rozwinęła właśnie w trwającem wieki krzyżowaniu zamkniętem. Mieszanie się *in and in* było by więc w początkowych okresach dziejów ludzkich dźwignią postępową, sprawiającą przewrót organiczny.

Nastręcza się jednak pewne pytanie.

Nawet u najniższych z pośród istniejących szczepów rodu ludzkiego spotykamy wyraźny wstręt do stosunków małżeńskich pomiędzy osobami, będącemi w pokrewieństwie. Przynajmniej dotyczy to pewnych stopni. Fidżyjczycy, systematycznie poślubiający córki wujów swoich lub ciotek, uważają za ciężką zbrodnię małżeństwo pomiędzy rodzeństwem. Nawet związki pomiędzy wujem a siostrzenicą, zdarzające się często na wyspach tylko co wymienionego archipelagu, uchodzą za niewłaściwe, małżonkowie sami spoglądają na potomstwo swoje jako na nieprawe częściowo i Thomson tymi właśnie względami tłomaczy olbrzymią śmiertelność, spostrzeganą wśród stadeł małżeńskich tej kategoryi. Jakim sposobem takie zakazy zjawiły się? Morgan, jak wiadomo, tłomaczy rozwój stosunków rodzinnych działaniem doboru przyrodzonego, oraz świadomości plemieńców o szkodliwości związków kazirodczych. Ród ludzki porzucił kazirodztwo i swoistość — nie będziemy tutaj wdawali się w wyjaśnienie znaczenia tych terminów — tylko dlatego, że spostrzegł, iż mnożą one niedołęgów i kaleki. Zdawałoby się, iż tłomaczenie takie przebiegu dziejowego upada, jako niedostateczne wobec faktów powyżej przytoczonych. Winniśmy przecież zaznaczyć, że jedno nie sprzeciwia się drugiemu. Zootechnicy znaleźli, że krzyżowanie wsobne jest bronią dwusieczną: sprzyja ono wyodrębnianiu kształtów i zróżniczkowaniu gatunku, utrwala pewne przymioty, ale jednocześnie mnoży cechy ujemne. Wśród gromady zdrowej i silnej mogło ono być dźwignią postępu, natomiast w grupie, mającej zadatki znikczemnienia, prowadziłoby w krótkim przeciągu czasu do zupełnego zwyrodnienia i i wymarcia. Prawdopodobnie zasada ta, słuszna dla wszystkich ogniw świata zwierzęcego, zachowywa moc swoją i w stosunku do człowieka. Istota ludzka spostrzegała wpływy ujemne, które działały na jej wyobraźnię silniej, aniżeli dodatnie, i odpowiednio starała się ograniczyć zakazami swobodę związków małżeńskich. Przeciw temu znowu ktoś mógłby postawić zarzut, dlaczego niema tych ujemnych skutków wśród Fidżyjczyków. Nie możemy co do tego udzielić żadnej odpowiedzi. Przedstawiliśmy pewne fakty, zaznaczyliśmy istnienie pewnych teoryj i na tem poprzestajemy, nie chcąc wkraczać na pole dalszych domysłów. Może powrócimy jeszcze do tej kwestyi w niedalekiej przyszłości z powodu dość ciekawej pracy dr. Alberta Reibmayr'a, poświęconej kazirodztwu i mieszaniu wśród rodu ludzkiego podczas epoki historycznej.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Piotr Loti: *Ramuntho* (Rajmundek). Paryż, 1897.

Po trzech latach przerwy, wypełnionej częściowo opisem podróży do Palestyny, Piotr Loti ogłosił nową powieść. Tym razem zaczerpniętą z życia Basków pirenejskich.

Wiejska to historya, niewymuszona i jakby na pieśni gminnej osnuta. „Nie wszystkie sady kwitną, co w liść się stroją — mówi piosnka ukraińska — nie wszyscy ci się pobiorą, co się kochają." Tak bywa i u nas, i u tego ludu, co do najdawniejszych w Europie się liczy. Zła matka, przymus wywarty na córce, wojaczka — ot dalsze motywy sielskiej opowieści.

W dolinie górskiej, między dwoma pasmami Pirenejów tak ścieśnionemi, że zda się lada chwila zgniotą rozrzucone śród nich osady, mieszka smutna kobieta, imieniem Franciszka. Uległa niegdyś przejezdnemu artyście, żyła z nim jakiś czas, potem odczuwając oziębienie, wróciła do wioski ojczystej. W pracy schodziły jej dnie, rozweselane tylko szczebiotem synka, Rajmunda.

Syn tymczasem podrasta, już teraz piętnaście lat liczy. Dziarski chłopak. We wsi kwitnie przemytnictwo, on dzielnie stawia kroki w tym zawodzie. Baskowie mają narodową grę w piłkę. Rajmund zbiera w niej oklaski. A to jedno może zapewnić mu przyszłość, bo jego rodacy, czy we Francyi, czy w Hiszpanii, czy w Argentynie, namiętnie lubią igrzyska tego rodzaju, płatne i przynoszące zdolnym graczom piękne dochody.

Od dziecka widziano go najczęściej ze złotowłosą rówieśnicą, córką jednej z sąsiadek, Gracyozą. Późniejsze lata wzmocniły sympatye młodziutkiej pary. Dla niego niema gry w piłkę, jeśli w pierwszym szeregu nie siedzi Gracyoza, rosnąca w dumę, ilekroć on zwycięża; niema zabawy, ani tańca, gdy ona nie przybyła. Gracyoza łagodna i uległa, w jednym tylko razie mogłaby sprzeciwić się swojej matce: gdyby szło o Rajmunda. Więc i miłość posiada młodzieniec.

Niedziela. Po nieszporach cała wieś zebrała się na wielkim placu, gdzie sześciu najtęższych, trzech z wioski, trzech z sąsiednich włości, miało się zmierzyć w zabawie narodowej. Rajmundek odniósł tryumf. Wieczorem, po tańcu, idą razem z Gracyozą.

— Więc ty z tego, Rajmundku, myślisz żyć w przyszłości?

— Zapewne. Czasem będę wyjeżdżał do Ameryki...

— O, do Ameryki! — zawołała Gracyoza. Co za szczęście. Tak chciałabym przebyć wielkie morze. Tam poszukalibyśmy także wuja Ignacego.

— Poszukalibyśmy? — pyta on. Czy tak? Ja i ty razem?

Czarne oczy dziewczyny podniosły się ku niemu ze zdziwieniem i wyrzutem:

— Więc ty nie wiedziałeś o tem?

Od tej chwili zaręczyn moralnych roztacza się sielanka piękna i pełna przepychu południowego. W przepaścistych dolinach górskich, pośród stoków, okrytych lasami i przerzniętych srebrem ruczajów, pod promieniami słońca, które wywołuje z ziemi wonne kwiaty i ogromne paprocie, budzi do pieśni chóry ptasie, odgrywa się ona niby w jakimś Edenie. Czysta i płochliwa, zarazem wolna od patosu i wszelkiej przesady.

Przetyka ją pisarz obrazkami bytu, nocnych wycieczek przemytniczych, zabaw i codziennego życia Basków. I tak dochodzi aż do chwili, kiedy Rajmund, zgodnie z życzeniem Gracyozy, nie dobiegłszy jeszcze dwudziestu lat, zaciąga się do wojska jako ochotnik, aby czemprędzej wysłużyć i poślubić ukochaną.

Pomyślmy sobie krajobraz z niebem lazurowem, ze szczytami gór, skąpanymi w świetle, powietrzem rozjaśnionem i oblewającem bogatą roślinność. Naraz chmury, nasycone wilgocią, powlekają sklepienie i drobny, długotrwały deszcz poczyna padać. Ciepło znika, zieleń żółknie, świetność pierzcha.

Tak ma się rzecz z dolą Rajmunda. Między matką jego i Gracyozy istniał od młodości antagonizm. Gdy więc Gracyoza wyznała swą miłość rodzicielce, ta postanowiła w jakikolwiek sposób nici łączące młodych zerwać. Najpierw czyniła próby wydania jej za mąż, a gdy się nie powiodły, wyzyskała skłonności nieco mistyczne córki i wymogła na niej wstąpienie do klasztoru.

Ramuntho wraca po trzech latach z dalekich kolonij, gdzie w wojnie brał udział, i serce ma smutku pełne. Znajduje na dobitek matkę niemal umierającą: zbyt bolała nad cierpieniem syna, bieda dodała więcej. Gaśnie więc wkrótce, młody chłopak zaś ledwo dzień za dniem trąca. Naraz wpada mu pomysł: porwać Gracyozę. Bo czyż miłość miałaby w niej dotleć do szczętu?

Zyskuje poparcie jej brata i razem zabierają się do wykonania planu. Nic nie staje na przeszkodzie, wszystko przygotowane do wyjazdu za morze, otrzymali widzenie się z młodą mniszką. Niestety, w chwili, gdy czynu można dokonać, Rajmunda zbiera strach jakiś przed czynem świętokradzkim. Żegna Gracyozę na zawsze.

Rozważana w sobie druga część ma zalety, ale łączność z pierwszą jest dość luźna. Charakter Gracyozy w pierwszej części nie jest tak wątły, aby zapowiadał późniejszy zwrot, z drugiej strony i Rajmund nie zdradza w sobie bohatera niemal Bourgetowskiego. Dzielny przemytnik naraz tak bezsilny! Tłomaczy to autor pochodzeniem, ale czyż syn artysty, jako takiego, ma koniecznie zawierać pierwiastki niedołęstwa? Bo o charakterze osobistym ojca nic nie słyszymy. Mąci to wreszcie i cechy powieści: pierwotnie miała być utworem obyczajowym z ziemi Basków, potem ton zmienia się.

Pomysł więc zdaje mi się chybionym, zwłaszcza że tragizm, którego wzór mniej sztuczny znaleźć można w poezyi ludowej, był dość zbędnym. Sielanka prawie znikła dziś z literatury, dla zdolnego też pisarza, jak Loti, przedstawiała ponętne pole.

A mógł ją doprowadzić do końca. Istotnie pierwsza część, zajmująca dwie trzecie książki, jest miejscami prześliczna. Porównywam z nią najpiękniejsze stronice „Pawła i Wirginii" i dałbym pierwszeństwo „Rajmundkowi."

W. Bugiel.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Mimo wszelkich haseł postępu i całego przewrotu, cechującego schyłek naszego stulecia, jesteśmy zaprzysięgłymi zacofańcami—organ naprzykład tak się w naszem pojęciu z chórem kościelnym zespolił, takeśmy przywykli dźwięków jego słuchać w atmosferze przesiąkłej wonią kadzideł, w otoczeniu twa-

rzy, napiętnowanych pobożnem skupieniem ducha, śród uroczystej ciszy i tajemniczego półmroku świątyni, że gdy odezwał nam się z estrady koncertowej (Tow. muzyczne d. 13 b. m.) w sali rozjaśnionej blaskami elektrycznymi, pełnej jasnych strojów kobiecych, ogarnęło nas przedewszystkiem poczucie dokonywanej profanacyi. Nie wiedzieliśmy zrazu, co począć z tą potężną falą dźwięków, gdzie odszukać nastroju, który zazwyczaj już w nas jest, zanim jeszcze dźwięki te się rozlegną. A choć stopniowo wielkie melodye Bacha, Mendelssohna i Haendla przykuły naszą uwagę, owego podniosłego nastroju, w jaki nas zdolny jest nieraz wprawić skromny organista wiejski, nie mogliśmy w sobie odnaleźć pod wpływem mistrzowskiej istotnie gry d-ra Reimanna. Trudno, jesteśmy zacofańcami: inaczej słuchać będziemy słów kapłana z ambony, a inne zupełnie wrażenie wywarłyby na nas te same słowa tego samego kaznodziei, gdyby je zechciał wygłosić — z katedry prelegenckiej w sali ratuszowej.

Jeśli jednak popis d-ra Reimanna nie dał nam tego czysto duchowego zadowolenia, materyalna strona jego artyzmu podziw w nas wzbudziła i zdumienie. O doskonałości techniki jego ten tylko sądzić może i wypowiedzieć zdanie, kto jest obznajmiony z tajemnicą władania regestrami, manuałami, pedałami, klapami kolanowemi, klawiszami tego najbardziej złożonego z instrumentów. Dla nas, którzy zachwycamy się sprawnością ręki fortepianisty, mającego do czynienia z jedną, jaknajprościej zbudowaną klawiaturą—niepojętem wprost wydaje się to zupełne panowanie nad dwiema i trzema klawiaturami, przy jednoczesnem władaniu regestrami i pedałami. Żałować nam tylko wypada, że, podobnie jak Saint-Saëns przed laty w kościele ewangelickim, nie dał nam się słyszeć p. Reimann w katedrze naprzykład, a wtedy, pewni jesteśmy, zbogacilibyśmy się o jedno z najdoskonalszych wrażeń artystycznych.

Towarzyszami estradowymi organmistrza byli p. Romerówna i p. Bruszewski (śpiew), oraz p. Birnbaum (skrzypce). Pierwsza, od poprzedniego popisu swego, od którego dzieli ją zaledwie kilku miesięcy, nie zrobiła takich postępów, aby o niej co nowego powiedzieć można. Ten sam głos rozległy, dźwięczny, ta sama siła tonu, ten sam brak *mezza-voce*, ta sama poprawność, ale i ten sam chłód w wykonaniu. P. Bruszewski, to typ tenora bohaterskiego scen mniejszych i estrad podrzędnych. Wielka brawura w używaniu nut wysokich, głos donośny, smaku artystycznego — ani cienia; bo i po co, skoro właśnie za tę brawurę zbiera się od naszej publiczności najsutsze oklaski?

Tego samego wieczoru p. Strassernówna i p. Sienkiewicz występowali na scenie teatru Wielkiego w głównych partyach „Halki," której, skutkiem takiego zbiegu, zdołaliśmy usłyszeć tylko dwa ostatnie akty. Zarówno wszakże śpiewak, jak i śpiewaczka mają w tych właśnie aktach swoje arye kapitalne, można zatem na tej podstawie sąd niejaki o nich wydać. W p. Strassernównie zdobyła dyrekcya nareszcie artystkę, która zaradzi stałemu niedomaganiu dramatycznego repertuaru operowego. Sopran dźwięczny, silny, emisya prawidłowa, poczucie artystyczne wrodzone, temperament sceniczny i zdolności aktorskie, przy miłej powierzchowności — oto co można „na dobro" młodej śpiewaczki zapisać. „Debet" w tym obrachunku stanowi głównie jej — młodość, a więc idące z nią w parze niedoświadczenie, jakby lękliwość w wyzyskiwaniu całego materyału i brak prostoty, która jest szczytem każdej doskonałej sztuki. Ponieważ jednak z długu, młodością zwanego, każdy nieodwołalnie uiszczać się musi, i stąd nie obciąża on nazbyt rachunku — przeto i p. Strassernówna, w miarę jak się z niego wypłacać będzie, wyrówna niewątpliwie swój bilans artystyczny. Jontek p. Sienkiewicza ma przedewszystkiem wadę sztuczności — robi wrażenie pięknego górala z obrazka. Wogóle zdaje nam się, że rodzaj głosu i gry artysty nadaje się raczej do ról dramatyczno-bohaterskich, niż lirycznych. W dumce „Szumią jodły" brakło przedewszystkiem jej cechy charakterystycznej—zadumy i rzewnego żalu; przedramatyzował artysta ten wybuch serdecznej rozpaczy górala: z tonu pieśni możnaby Jontka posądzić o chęć zemsty nad „niebogą," od czego przecież taki był daleki. Wogóle, uposażonemu hojnie od natury artyście zalecać tylko można ciągle, iżby dużo pracował nad sobą, bo z takim materyałem głosowym powinien na pierwszorzędnego wyjść śpiewaka; radzibyśmy bardzo, żeby i sam nabrał tego przekonania—obecnie bowiem zdarza się często, iż na scenie wygląda tak, jak gdyby był pewien, że już niczego uczyć się nie potrzebuje.

W „Strasznym Dworze" (d. 16 b. m.) rolę Jadwigi objęła także p. Strassernówna, a choć niewiele w niej ma pola do popisu, ujawniła znów duże zalety swoje i mniejsze wady, śród których tutaj brak prostoty najbardziej się wydał rażącym. Zresztą obsada pozostała taka, o jakiej pisaliśmy w poprzednim sezonie — z wyjątkiem p. Crottiego, który wart jest osobnych słów uznania za wyuczenie się po polsku i zupełnie trafne odtworzenie partyi Skołuby. P. Crotti, od szeregu lat drugi basista stałej opery tutejszej, uważał sobie widocznie za obowiązek złożyć w ten sposób hołd sztuce narodu, śród którego doznał gościnnego przyjęcia. Fakt to zapewne niezbyt doniosły, ale — rzadki.

Czy p. Chodakowski nie uważałby za stosowne wyrzec się roli Janusza w „Halce" na korzyść młodszego kolegi? Ten podżyły uwodziciel i „pan młody" zaczyna już robić komiczne wrażenie.

Na niedbałość wystawy obu oper Moniuszki już szkoda słów tracić.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

NAUKI. J. Nusbaum: „Dziedziczność w świetle badań dzisiejszych" (80 str.).

— E. Rodziszewski: „Treść gramatyki polskiej w zakresie szkolnym" (95 str.).

— P. Chmielowski: „Józef Korzeniowski," jego życie i działalność literacka (ze zbioru „Życiorysy sławnych Polaków"). Petersburg, Grendyszyński (133 str.).

— J. Mycielski: „Książę Panie Kochanku," studyum historyczne (200 str.). Petersburg, Grendyszyński.

— W. Zakrzewski: „Adolf Pawiński," zarys dziejów żywota i pracy (142 str.). Petersburg, Grendyszyński.

— Dr. S. Grosglik: „Z powodu Andrologii d-ra Misiewicza" (14 str.). W broszurze tej krytyk oskarża autora „Andrologii" o „plagiat, fałsze, dowolność w przytaczaniu faktów i powoływaniu się na literaturę."

— Prof. dr. O. Bujwid: „Perlica i środki zaradcze" (16 str.). Autor wskazuje sposoby rozpoznawania gruźlicy u bydła i szczepień ochronnych.

— J. L. Goremykin: „Zarys historyi włościan w Polsce," przekł. A. Dobrowolskiego (232 str.) Petersburg, Grendyszyński.

— C. Jellenta: „Galerya ostatnich dni," wizerunki, rozbiory i pomysły (327 str.).

— J. Kirszrot-Prawnicki: „O oszczędności, kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych" (307 str.).

POWIEŚĆ. A. Mańkowski: „Moja Helenka," powieść współczesna (327 str.). Petersburg, Grendyszyński.

MYŚLIWSTWO. K. Machczyński: „W polu i w lesie" (153 str.), Wizbek.

AFORYZMY. „Co nam Prus powiedział?" (156 str.). Wizbek.

MUZYKA. W. Żeleński: „Nauka pierwszych zasad muzyki" (113 str.), Gebethner i Wolff.

POEZYE

ŚPIEWACY.

Piotrowi Chmielowskiemu
ze czcią głęboką poświęca
J.

Mój ptaszeńko,
Słowiczeńko,
Już mi śpiewa w sadzie;
Z nocną rosą
Echa niosą
Pieśni w pola, w dal.
Wątłej śpiewa on rozsadzie,
Krzewom, drzewom, łąk kobiercom,
I stęsknionym ludzkim sercom
I zwierciadłom fal.

Mój ptaszeńko,
Słowiczeńko,
Czary rzuca w krąg:
Niebo pała,
Róża biała
Rozwinęła pąk:
W zachwyceniu cichem tonie,
Bujna rosa na jej łonie
Gradem pereł drży.
Czemu, czemu — niech kto zbada,
Kiedy sercem szczęście włada,
Z ócz nam lecą łzy?

Mój ptaszeńko,
Słowiczeńko,
Ciągle: och i ach,
Wrząca nuta
Z piersi snuta
Roztapia się w łzach.
Ach, wie ptaszę, co je smuci,
Gdy miłosną piosnkę nuci,
Zna znikomość chwil.
Wie, że wiosna wnet nas rzuci
I nie wróci, ach, nie wróci,
Choćbyś do wrót wszystkich pukał,
Choćbyś pytał, choćbyś szukał
Za tysiące mil.

Mój ptaszeńko,
Słowiczeńko,
Śpiewa, śpiewa wciąż:
Na tysiące ech rozbita
Pieśń porywu, serce chwyta,
Oplata jak wąż.
Wywołuje wspomnień krocie,
Każe pędzel brać tęsknocie
I nim krasić je;
W tym marzenia, tęsknic stroju
Idziesz, idziesz, drogi roju,
Przeglądasz się w łzie.

Mój ptaszeńku,
Słowiczeńku,
Twa pieśń wspomnień brzmi...
Hej zaprzęgnę ja gołębie,
W błękitowe cisnę głębie,
Hej wypuszczę ja sokoły
Ponad pola, nad rozdoły,
Niech polecą, niech przyniosą
Moją wiosnę złotowłosą,
Moją wiosnę modrooką,
Pogrzebaną gdzieś głęboko,
Niech przyniosą mi!
A ja wezmę z mórz korale,
Z gór turkusy i opale,
Z serca szkarłat krwi;
Zeń uprzędę jej sukienki
I serdeczne me piosenki
Dam za służki,
Dam za wróżki,
Niech jej wianki wonne plotą,
Na skroń zdejmą gwiazdę złotą,
Co na niebie tkwi.

Mój ptaszeńku,
Słowiczeńku,
Ciągle płaczesz ty,
Jakby nuta,
Z piersi snuta,
Stapiała się w łzy;
Jakbyś mówił, że nie zwabię
Na piosenki, na jedwabie
Tej, co w sobie czary chowa
Nieujęte w barwy, w słowa:
Mleczne lica, gwiazdy oczy,
Złotą falą swych warkoczy,
W sercu wrzącą krew.
Ni jej dzięcioł nie wystuka,
Ni kukułka nie wykuka,
Ni jaskółki swym szczebiotem
Nie sprowadzą tu z powrotem
Z zasłonecznych stref.
Więc ja orłów parę chwycę,
Popchnę w chmury i mgławice,
Niech wypatrzą, niech przyniosą
Moją wiosnę złotowłosą,
Moją wiosnę modrooką,
Zakopaną gdzieś głęboko
Śród nieznanych hal.
Ja rubiny zbiorę krwawe,
Co zrosiły bujną trawę,
Tych lasów i niw;
Miast serdecznej mej piosenki,
Niby kos i sierpów brzęki
Wróżące czas żniw,
Dam jej dźwięki, które grano
Gdzieś w słoneczne moje rano
Brzęczące jak stal...
Z ócz niewieścich perły znizę,
Pozdejmuję z ramion krzyże;
Wichry stepów dam za drużki,
Dam manele i łańcuszki...
A pod głowę pustyń ziele
Lub biegunów śnieg podścielę
W dal—pod stopy jej...
Jeśli dźwięk ten nie przywoła,
Jeśli skarbiec ten nie zdoła
Jej przyciągnąć swoją mocą
W serce piewcy, w pieśń sierocą,
To znać niema żadnej drogi
Dla mej wiosny, dla niebogi,
Dla królowej mej.

Mój ptaszeńko,
Słowiczeńko,
Śpiewa z bracią w chór:
To kaskada
Tonów pada,
To grad krzyków rozłamany
Jak przez kogoś roznizany
Długi pereł sznur.
„Cóż położysz ty na szali?
Szkarłat wspomnień, brzęki stali
I łez słony płyn
Tej, co w sobie skarby chowa
Nieujęte w ludzkie słowa:
Młode serce w piersi młodéj,
Lot do słońca i swobody,
Sny poetów, wiarę w losy,
Co prowadzi choć na stosy
W barach siłę wielkoluda,
Zapał, który działa cuda,
Moc, co stwarza czyn?"

Mój ptaszeńku,
Słowiczeńku,
Wiem już teraz, wiem:
Toś ty nawiał pieśnią swoją
Sny, co jedną noc się roją
I pierzchają z dniem.
Tem ja odczuł w twojej pieśni
Powtórzone w głos
Te płomienne ducha wzloty
I porywy i tęsknoty,
Których nigdy duch nie prześni,
Choć zbieleje włos.
Niema, niema wiosny mojéj,
Zatracony szlak;
Do słonecznych że podwoi
Uniósł ją żar-ptak?
Czy umknęła w karo konie
Na nieznane jakieś błonie?
Czy uniosły ją łabędzie
Na zamorskie gdzieś krawędzie?
Czy na krasnej rybek skrzeli
Zapłynęła w wód topieli?
Czy — najprędzej — woły siwe
Precz wywiozły ją na niwę;
Na tę niwę kośmi sianą,
Gęstym deszczem łez polaną,
Gdzie — pomimo ich wylewu —
Nie wyrasta nic z posiewu,
I stracona wszelka praca,
Bo co poszło raz — nie wraca...
Dzwony huczą, dzwony kraczą,
Że jej oczy nie obaczą,
Nie obaczą, nie obaczą,
Nie obaczą
Nigdy,
Nie!

Och ptaszeńku,
Słowiczeńku,
My śpiewamy dwaj;
Ton i rymy,
Pobratymy —
Dziś ty mi wtór daj!
Po co płakać w twoich piosnkach
Po sasankach i pierwiosnkach?
Drży akacya w śnieżnej bieli,
Biała lilia z nad topieli
Wychyla się wód;
Rozkwitają kraśne róże,
Przyjdzie lato w złote kruże
Lać upojen miód.
Bierz tam licho tęsknoć naszą!
Pijmy życie pełną czaszą!
Ile serca — wykochajmy!
Ile głosu — wyśpiewajmy
Do ostatka tchu!
Co grób kryje—kto nam powie?
Ziemia-matka — więc jej zdrowie!
Co w nas było
Ogniem, siłą —
Jej zostawmy tu!
Jeśli krótka nasza chwila —
Niechże czara się wychyla!
A gdy padnie z rąk —
Cóż, że więdną świeże róże?
W nowej krasie i purpurze
Znów wystrzeli pąk!
Inni przyjdą, puhar wzniosą
Napełniony miodną rosą,
Jako serce krwią,
I wieszcz-mocarz w pieśń zestrzeli
Słabe tony naszych treli,
Odda z mocą lwią.
Jako żniwiarz, co na niwie
Zbiera każdy kłos strzóżliwie,
By z nich związać snop,
Jak z tysięców drobnej cegły
Umie sklepić sztukmistrz biegły
Strzelnych świątyń strop;
Tak on zbierze i wysłucha,
Co w szczerości serca, ducha
Każdy z nas mógł mieć;
On przygarnie nas miłośnie:
„Cześć snom waszym, waszej wio-
Wy sierocy pogrobowce, [śnie,
Bezsłonecznych dróg wędrowce,
Za wiośniane wasze trele,
Za chowanie skier w popiele
Pokłon wam i cześć!"
I — jak wiosną ruń na łanie,
My w nim ujrzym zmartwychwsta-
Majów swych i snów, [nie
Własnych dusz i serc odbicie,
Jak wschodzący na błękicie
Księżycowy nów.

Mój ptaszeńku,
Słowiczeńku,
Nućże, nuć a nuć;
Od wieczora aż po rano
Nockę długą a niespaną
Piosenkami skróć!
Dla nas kiry, ptaszku-bracie,
Innym wejdzie świt w szkarłacie
Lepszych dziejów er,
Iść doń trzeba, wierzyć trzeba,
Że nie błyśnie z słońc ni z nieba,
Jeno z myśli skier.
My śpiewamy, my lirnicy,
Owych godzin poprzednicy,
Wierni drodze swej;
Więc choć serce tęsknoć chwyta,
Patrz w tę jutrznię, co zaświta,
I nie żale pomogilne,
Ale w piersi dziś bezsilno
Żary ognia lej!

Adam M—ski.

WDALI.

Płock. Od trzech miesięcy — jak donosi *Kuryer War.* — dworom i osadom włościańskim nie dawała spać spokojnie szajka koniokradów, grasująca bezkarnie w pow. Lipnowskim, gub. Płockiej, od strony granicy pruskiej. Konie ginęły nocami z całą uprzężą, a złodzieje uchodzili bezkarnie i zawsze niepostrzeżeni. Między innemi okradziono w ten sposób folwark Wolęcin, do dóbr Kikolskich należący, gdzie uprowadzono parę koni wartości 700 rs., i dominium Brzeźno, gdzie ze stajni zamkniętej skradziono 3 konie fornalskie z uprzężą. Przyszła nareszcie kreska na złodziejów i tydzień temu cała ich banda, dzięki sprytowi jednego z karczmarzy, wpadła w ręce sprawiedliwości. Ujęto 9 rzezimieszków, z których w samem Brzeźnie 3, a charakterystyczny wielce jest fakt, że byli to sami prawie koloniści Niemcy; jeden z nich, herszt bandy: niejaki Milke, jest posiadaczem osady 5-włókowej. Koniokradzi ci, dla zatarcia śladów kradzieży, wyprawiali drogą przemycaną konie kradzione do Prus, skąd wzajemnie otrzymywali konie skradzione za granicą i sprzedawali je na jarmarkach.

Łódź. Dzięki zabiegom d-ra Jana Wisłockiego, r. 1892 powstał w Łodzi przytułek położniczy, który udziela opieki i pomocy bezpłatnej niezamożnym. Zakład ten mieścił się w lokalu, nieodpowiadającym potrzebie. Otóż komitet jego po porozumieniu z Towarzystwem dobroczynności, wzniósł na terytoryum domu starców i kalek budynek własny (kosztem 5,200 rs.), składający się z pięciu widnych, przestronych pokojów, sali operacyjnej, gabinetu lekarza, mieszkania dla akuszerki i służby, pokoju kąpielowego itd. W przytułku mieści się kilkanaście łóżek. Pomimo dobrego urządzenia, wygód, pomocy i opieki bezpłatnej, zakład jednak nie jest przepełniony, gdyż chore są odciągane przez różne spekulantki, dostarczycielki mamek. Kobiety ubogie, nieświadome rzeczy, ulegają namowie i przyjmują „opiekę" w norach brudnych, narażając się w ten sposób na utratę zdrowia, a nawet i życia. — Łódzki bank handlowy d. 13 b. m. ukończył 25 lat istnienia. Z tego powodu wszyscy urzędnicy otrzymali gratyfikacyę w stosunku następującym: pracujący lat 5 — pensyę miesięczną; od 5 do 10-ciu — dwumiesięczną; więcej niż lat 10 — trzymiesięczną. — Ciekawe mamy do zanotowania zjawisko z dziedziny przemysłu wielkiego, które podajemy według sprawozdania korespondenta *Kur. Warsz.* Wszystkie kopalnie zagłębia dąbrowskiego podniosły naraz cenę węgla: kostkowego 20%, drobnego, używanego głównie przez fabryki łódzkie, aż 120%. Np. za t. zw. węgiel „gryzik" (Griesskohle), który dawniej sprzedawano po 9 do 11 kopiejek *loco* kopalnia, obecnie żądają po 22 kop. za korzec. Tak nagła, niesłychana i nieuzasadniona zwyżka skłoniła fabrykantów łódzkich do obmyślenia sposobu wyłamania się z pod zależności kopalni dąbrowskich. W tym właśnie celu znaczniejsi przemysłowcy m. Łodzi, Pabjanic i Zgierza zawiązali spółkę w celu zbiorowego zakupu węgli. Postanowiła ona kupować węgle szlązkie, dopóki kopalnie dąbrowskie nie poczynią takich ustępstw, któreby pozwoliły wrócić do węgli krajowych. Spółka wszystkie sprawy załatwiać będzie za pośrednictwem zarządu, wybranego przez ogół spólników. Wszyscy zobowiązali się całą ilość węgli, potrzebnych dla ich fabryk, zakupować wyłącznie za pośrednictwem zarządu spółki. Na zabezpieczenie tego zobowiązania składane są odpowiednie kaucye. Ogólna ilość węgli, zużywana przez wszystkich spólników razem, wynosi około 100 wagonów dziennie, tj. przeszło połowę ogólnej ilości węgli, sprowadzanych przez stacyę kolejową Łódź. Ponieważ spółka będzie również sprzedawała węgle firmom postronnym, które z różnych powodów

przypadkowych nie mogły wejść w jej skład, przeto działalność zjednoczonych rozwinie się jeszcze bardziej i nabierze tam większego znaczenia. Spółka będzie posiadała własne place na składy węgli przy linii kolejowej.

Kamieniec Podolski. Korespondent *Wieku* prostuje doniesienia innych o wrzekomo niepomyślnym stanie ekonomicznym i bankructwie właścicieli ziemskich na Podolu. „Jest to bajka, bo na żyznej ziemi naszej bankrutów niema jeszcze, dzięki Bogu, a jeśli czasem znajdzie się zadłużony majątek, to do wyjątku zaliczyć go należy, ogół bowiem nawet długu bankowego u nika. Nie brak tu ludzi zamożnych, którzy podwajają swoją fortunę, wkładając wielkie sumy w przemysł cykrowniczy, a chociaż to niezawsze się udaje, jednak nie bankrutuje żadna z fabryk cukru, tak licznych u nas, a nawet przybywa ich coraz więcej. Taka Uladówka, hr. Potockiego, prowadzi handel na większą skalę, również powagą finansową cieszy się cukrownia wojtowiecka, a nawet niedawno otwarta w Sieniawie (w dobrach hr. Stadnickich) ma ogromną przyszłość przed sobą. Nie licząc już fortun arystokratycznych Potockich, Czetwertyńskich, Chołoniewskich, Zamojskich itd., są pokaźne fortuny szlacheckie. Spotykamy tu rozległe dobra Sobańskich, Brzozowskich, Żurawskich, Mazarakich, Trzeciaków i wielu innych bogatych ludzi, oddawna w gub. Podolskiej zamieszkałych Ci w gorszych niż dziś okolicznościach, nie wypuszczając z rąk majątków rodzinnych, przekazali je dzieciom; dzisiejszo zaś pokolenie pracą i skromnością utrzymuje się w dobrobycie i nie zasługujo na zarzuty bankructwa. Jednem słowem dobrzeby było, aby finansowy stan był wszędzie taki, jak u nas."

PRASA ROSYJSKA.

Now. Wremia krytykuje naszą apostrofę, w której radziliśmy prasie warszawskiej, ażeby, zamiast jałowej polemiki z gazetami rosyjskiemi, zwracała uwagę głównie na *Praw. Wiestnik*. Twierdzi ono, że jakkolwiek kilkowierszowe doniesienia organu urzędowego mają często większą wagę, niż najobszerniejsze artykuły pism prywatnych, jednakże pisma te przygotowują opinię publiczną, którą rząd uwzględnia. Wywód ten byłby bardzo słusznym, gdyby nie... *Now. Wremia*. Ile bowiem jest odcieniów barw politycznych, ile tonów w skali publicystycznej, tyle ich ono stosuje do tych samych spraw i często w tym samym numerze Czegoż więc może się nauczyć prawodawca od kameleonów? Napisać codzień artykuł sprzeczny z wczorajszym i jutrzejszym — to widocznie łatwo, ale wydawać sprzeczne między sobą prawa — to trudniej.

Pomnik dla Murawiewa w Wilnie. Z powodu założenia fundamentów pod ten pomnik *Prawit. Wiestnik* powiada (według *Kur. Warsz.*):

„Wielka zasługa dziejowa Murawiewa—odrodzenie w głuszy kraju litewskiego uciskanej przez katolicyzm i szlachtę narodowości rosyjskiej, ugruntowanie i rozwój w guberniach zachodnich prawosławia, budowa cerkwi, utrwalenie wychowania na podstawach rosyjskich — nie przez wszystkich współczesnych należycie była oceniona, jednocześnie bowiem z pełnem zachwytu uznaniem wywoływała wiele sprzecznych sądów, sporów, nagan i potwarzy straszliwych. Lecz czas dokonał swego i słuszna ocena działalności Murawiewa wileńskiego tryumf odniosła."

W dalszym ciągu *Praw. Wiestn.* kreśli dzieje wielkorządztwa Murawiewa, trwającego od d. 1 maja 1863 r. do kwietnia 1865 r., streszczając przytem znany „memoryał" z d. 14 maja 1864 r., dotyczący urządzeń w kraju północnozachodnim: „projekt, w tym memoryale podany, Murawiew zdołał ziścić prawie w całości w ciągu r. 1864, kasując przeszło 30 kościołów katolickich, znosząc wiele samowolnie urządzonych parafij filialnych i niepotrzebnych, a jednocześnie przeznaczając dla duchowieństwa prawosławnego około 400,000 rs. rocznego dodatku do płac, usuwając język polski z korespondencyi urzędowej i ze szkół, rozciągając jaknajściślejszą kontrolę władz miejscowych nad duchowieństwem katolickiem."

Now. Wr. przytacza nieprzychylne dla M. opinie i stara się je zwalczać. „Opinie ujemne— pisze — rozpowszechniali: Polacy, prasa zagraniczna, a nawet niektórzy Rosyanie, kółko j. o. ks. A. A. Suworowa i Wałujewa np. nazywało M., jak powszechnie wiadomo, gmiunym barbarzyńcą i ludożercą, który pluje na historyę. Czyż Murawiew był ludożercą? W czasie jego dyktatury powieszono lub rozstrzelono 128 osób, do robót ciężkich zesłano 972. W Królestwie Polskiem w czasie tłumienia tegoż samego powstania powieszono znacznie więcej, niż na Litwie; w jednej z gubernij nadwiślańskich stracono wtedy więcej powstańców, niż w 6 północnozachodnich. Sam Murawiew twierdził i miał słuszność, że żadna rewolucya zachodnio-europejska nie była ukrócona kosztem mniejszej liczby ofiar, niż powstanie 1863 r."

W końcu artykułu *Now. Wr.* rzuca projekt wydania w zbiorze wszystkich rozporządzeń Murawiewa z czasów jego dyktatury.

DONIESIENIA URZĘDOWE

Prawit. Wiest. donosi:

„Głównozarządzający Własną Jego Cesarskiej Mości Kancelaryą w wydziale instytucyj Cesarzowej Maryi, zgodnie z uchwałą rady opiekuńczej, wyjednał Najwyższą Jego Cesarskiej Mości zgodę na uzupełnienie § 3-go ustawy gimnazyów żeńskich wydziału uwagą następującą: „Przy przyjmowaniu panien do gimnazyów żeńskich wydziału w gubernii: Wileńskiej, Witebskiej, Wołyńskiej, Grodzieńskiej, Podolskiej, Kijowskiej, Kowieńskiej, Mińskiej i Mohylowskiej, jeżeli liczba kandydatek, które zdały egzamin należycie, przechodzi liczbę wakansów, trzeba dawać pierwszeństwo osobom, które były lub są na służbie państwowej, albo należą do duchowieństwa prawosławnego, nawet gdyby ich stopnie egzaminacyjne były niższe od stopni innych kandydatek. Dopiero na pozostałe wakanse przyjmują się panny według stopni, otrzymanych na egzaminie." Najjaśniejszy Pan d. 29 lipca 1897 r. na powyższe przedstawienie Najwyżej zgodzić się raczył."

KRONIKA.

Od Redakcyi. Pomimo wielokrotnych doniesień, że komitet budowy pomnika Mickiewicza zamknął listę składek i dalszych nie przyjmuje, odbieramy ciągle na ten cel posyłki pieniężne Prosimy przeto spóźnionych ofiarodawców o rozporządzenie swemi składkami, których według przeznaczenia doręczyć nie możemy.

Wspaniały zapis. Zmarły w Warszawie kupiec Edward Czaban, zapisał rozmaitym instytucyom społecznym, naukowym i filantropijnym 570,000 rs. Nieboszczyk większą część życia spędził we Francyi, tam na handlu drzewem dorobił się ogromnego majątku, a gdy zamknął swoją działalność, wrócił do kraju i tu na ołtarzu dobra swego narodu złożył olbrzymią ofiarę. Jakże wielkim jest ten skromny kupiec wobec naszych „panów," którzy za życia pamiętają tylko o sobie, a po śmierci tylko o swoich krewniakach i nieraz pozostawiając miliony, nie dają z nich społeczeństwu ani szeląga!

Wiadomości specjalne. Komisya senatora Kwrima opracowała projekt przepisów, zabezpieczających prawo własności literackiej i artystycznej. Ma ono trwać lat 30 od dnia zgonu autora.

— Senat ogłosił przepisy o długości dnia roboczego i rozkładzie godzin pracy w fabrykach i zakładach przemysłowych oraz instrukcyę, udzieloną w tej sprawie inspekcyom fabrycznym.

— Wszelkie sprawy, dotyczące powstawania w Królestwie Polskiem towarzystw ubezpieczeń wzajemnych i pomocy tudzież innych tego rodzaju instytucyj, dotąd zależały od postanowienia komitetu ministrów. Nadal pozwolenie na zawiązywanie tych towarzystw udzielać będzie minister spraw wewnętrznych w porozumieniu z general-gubernatorem warszawskim.

— W senacie poruszono kwestyę nadania prawa zamieszkiwania w Syberyi Żydom, którzy ukończyli wyższe zakłady naukowe.

— Ministerya spraw wewnętrznych, wojny, dóbr państwa i rolnictwa zamierzyły zbadać przyczynę kolonizacyi niemieckiej kresów zachodnich państwa. Główna uwaga będzie zwrócona na przyczyny, sprzyjające wysiedlaniu się włościan z gubernij zachodnich.

— Ministeryum skarbu zamierza w r. p. dopuścić kobiety do posad w biurach Banku państwa na prowincyi. (*Mir. Otg.*).

Szkoły Ministeryum wyjaśniło, że obcokrajowcom wolno otrzymywać posady nauczycieli w szkołach początkowych, z warunkiem, że mianowania za każdym razem będą przedstawiane ministeryum do zatwierdzenia.

— Wydano rozporządzenie, ażeby na posady nauczycieli szkół początkowych miejskich były wybierane osoby z wykształceniem pedagogicznem lub te, które skończyły zakłady naukowe średnie, oraz żeby na posady owe nie mianowano osób z wadami fizycznemi: wywołują one bowiem w dziatwie uczucia nieuszanowania.

— Ministeryum skarbu, pragnąc rozwinąć przemysł fabryczny, postanawia zachęcać przemysłowców do urządzania przy fabrykach szkół fachowych, na których utrzymanie udzielane będą zapomogi skarbowe.

— Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi ukończyło w r. b. 50 studentów i 2 eksternów; 30 z nich otrzymało dyplomy agronomów i leśników 1-go stopnia, 20-tu — 2-go. W liczbie powyższej jest 13 Polaków. Większość otrzymała już posady rządowe lub prywatne. Te ostatnie jednak, z powodu niskiego wynagrodzenia, przyjmowane są niechętnie.

— Ministeryum wyjaśniło, że świadectwa dojrzałości nie mogą być przedawnione: Wolno więc bez ponownego egzaminu wstąpić do uniwersytetu, chociażby po upływie lat dziesięciu i więcej. (*Jużnyj Kraj*).

— Otwarto w Warszawie drugą szkołę dentystyczną (przy ul. Trębackiej), do której zapisało się 62 słuchaczów, w połowie kobiet.

— W głównych ogniskach przemysłu mają być otwarte szkoły elektrotechniczne.

Prasa. Od nowego roku w Sosnowicach zacznie wychodzić *Kuryer Sosnowicki*.

Teatr. Według depeszy *Kuryera Warsz.*, jeden z przedsiębiorców teatralnych uzyskał pozwolenie na sprowadzenie do Kijowa trupy dramatycznej polskiej. Przedsiębiorca podobno rozpoczął rokowania z p. Dobrzańskim.

Zdrowie publiczne W r. b. ostatecznie będzie opracowany plan szpitalów kolejowych i zakładów dla pracowników chorych na umyśle. Sprawy te będą roztrząsane na zjeździe ogólnym przedstawicieli [illegible]

Koleje i komunikacye. Według doniesienia gazet, osoby zainteresowane sprawą budowy kolei do Kalisza, otrzymały wiadomość najzupełniej wiarogodną, iż rząd przychylił się ostatecznie do udzielenia koncesyi na budowę kolei z Łodzi do Kalisza, lecz tylko wązkotorowej, z szerokością toru 75 centymetrów. Koncesya będzie wydana jednemu z licznych starających się o to towarzystw prywatnych. Jednocześnie rozpatrywany jest projekt budowy kolei wązkotorowej, wniesiony przez p. Aleksandra Paszkowskiego, ze Zgierza do Łodzi i Pabjanic.

— Ministeryum komunikacyj poleciło dokonać zmian w przepisach, dotyczących terminu otwierania kas biletowych na kolejach, gdyż obowiązujące dziś pół godziny przed odejściem pociągu nie wystarcza dla obsłużenia zwiększonego ruchu osobowego. Na późne otwieranie kas publiczność już oddawna się uskarżała, ale jakoś dotychczas nie zwracano na to uwagi, pomimo awantur, tłoku, bójek

i kradzieży przy kasach. To też rozumne, chociaż spóźnione rozporządzenie nie będzie obojętnie przyjęte przez ogół.

— Pociągi kolei Syberyjskiej dla podróżnych, jadących za biletami płatnymi, zaczną kursować w zimie do stacyi Kluczy.

Wystawy i zjazdy. W Petersburgu d. 5 lutego otwarty będzie V-ty zjazd komunikacyj wodnych.

— Od d. 27 listopada do końca grudnia r. b. trwać będzie w Bordeaux międzynarodowa wystawa wszelkiego rodzaju materyałów spożywczych, z uwzględnieniem specyalnych działów hygieny, handlu, produkcyi rolnej, przetworów, hodowli win, piwowarstwa itp. Na wystawie odbędą się trzy konkursy: 1) okazów sztuki kulinarnej oraz wykształcenia fachowego w tym zakresie; 2) wyrobów piekarskich i cukierniczych i 3) wyrobów piwowarskich oraz wszelkich innych napojów. Szczegółowych wskazówek dostarcza p. Jean Alfred Vigé, dyrektor wystawy (Bordeaux), lub też konsulaty francuskie i izby handlowe („chambres de commerce“) po za granicami Francyi.

Zmarli. Franciszek Ksawery von Wegele, w Würzburgu, ur. 28 października 1823 r.; studya odbywał w Jenie; w r. 1851 został profesorem nadzwyczajnym, a w 1857 — zwyczajnym historyi w Würzburgu. Z jego prac historycznych na zaznaczenie zasługują: „Karol August wejmarski,“ „Życie i dzieła Danta Alighieri,“ „Goethe jako historyk“ i „Historya historyografii niemieckiej od powstania humanizmu.“

— Zygmunt Kiślański, w Warszawie, wybitny i znany budowniczy. Pisywał artykuły specyalne.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu X. M. w Piotrkowie. Podanie o otworzenie czytelni bezpłatnej wnieść należy na ręce gubernatora miejscowego, powołując się na § 175 Ust. cenzuralnej. Podanie podpisać mogą trzy osoby prywatne, z których jedna na zasadzie § 175 Ust. cenz. winna przyjąć na siebie odpowiedzialność przed władzami. Jeśli podanie wniesione będzie przez Towarzystwo akcyjne fabryki lub Stowarzyszenie spożywcze — wystarcza podpis prezesa tych instytucyj. W razie zażądania dołączyć należy ustawę, która określa administracyjną stronę czytelni. Bliższych informacyj udzielimy na żądanie.

B. Ż. w Permie. Żądany dodatek kosztować będzie z przesyłką rs. 1 k. 11.

SPROSTOWANIE. W art. „Nowożytne kierunki i nasze salony artystyczne“ mylnie wydrukowano tytuł dzieła p. Wasilkowskiego *Taniec*, zamiast *Tory*.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski

Дозволено Цензурою. Варшава 10 Октября 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.